UMCS LUBLIN

Z kronik UB i MO - str. 6 i 7

CENA 2 ZŁ

Kamena

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 16.III. 1969 Nr 6 (413) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

ALEKSANDER ALEKSY

W 45-lecie pracy artystycznej

Maria Bechczyc-Rudnicka

O ALEKSANDRZE ALEKSYM trudno pisać jubileuszowo, oficjalnie. Aleksy jest nie tylko świetnym artystą, utalentowanym i wtajemniczonym we wszystkie arkana sztuki aktorskiej, jest ponadto ulubieńcem publiczności.

Publiczność darzy zazwyczaj dobrego aktora uznaniem, trwała sympatia to zjawisko wyjątkowe. W dopełniającym się właśnie powojennym dwudziestopięcioleciu lubelskiej sceny dramatycznej taki sentyment widowni, jakim cieszy się Aleksander Aleksy, zdobyli tylko — Marian Kondracki i Maksymilian Chmielarczyk, po nich — „dwaj panowie M", Jan Machulski i Stanisław Mikulski.

Aleksy przyjechał do Lublina z łódzkiego Teatru Powszechnego w r. 1952. Przeżywaliśmy wówczas ciężką chwilę żałoby i rozterki wobec nieoczekiwanej śmierci Jerzego Rygiera nazajutrz po premierze „Zbiegów" Auderskiej. Nagłe zastępstwo! Niespełna trzy dni i trzy noce na opracowanie postaci Podstolego, postaci czołowej.

Pamiętam ten pierwszy u nas występ Aleksego. Nieomal wszyscy aktorzy nie zajęci w „Zbiegach" stłoczyli się na widowni przy środkowym wejściu. Na scenie rozgrywały się sprawy osiemnastowieczne, z przedednia Sejmu Czteroletniego. „Dobry pan", Podstoli, perorował o pseudoreformach, którymi zamierzał uszczęśliwić swych poddanych...

Nowo przybyły aktor z miejsca zaprezentował walory niezbędne w kontuszowej roli sobiepana: postawę wyniosłą, ton apodyktyczny, zabawnie kontrastujący z bzdurstwem wypowiedzi. Trochę „haftował" tekst, ale jak! Był panem nie tylko „Leśnowoli", ale i sceny. W nieprzewidzianych pauzach podobno na partnerach cierpła skóra, lecz on, ON, przechadzał się po „deskach" całkiem swobodnie, wypełniając owe luki celowym gestem i wymowną mimiką, aż zbliżył się do kulisy, skąd suflerka podrzucała kolejną kwestię.

Ten rozczulający dziś szczegółik musiał być przytoczony, chodzi nam przecie o nieschematyczny portret Pana Aleksandra, artysty wielkiego i — kochanego.

Dokończenie na str. 8

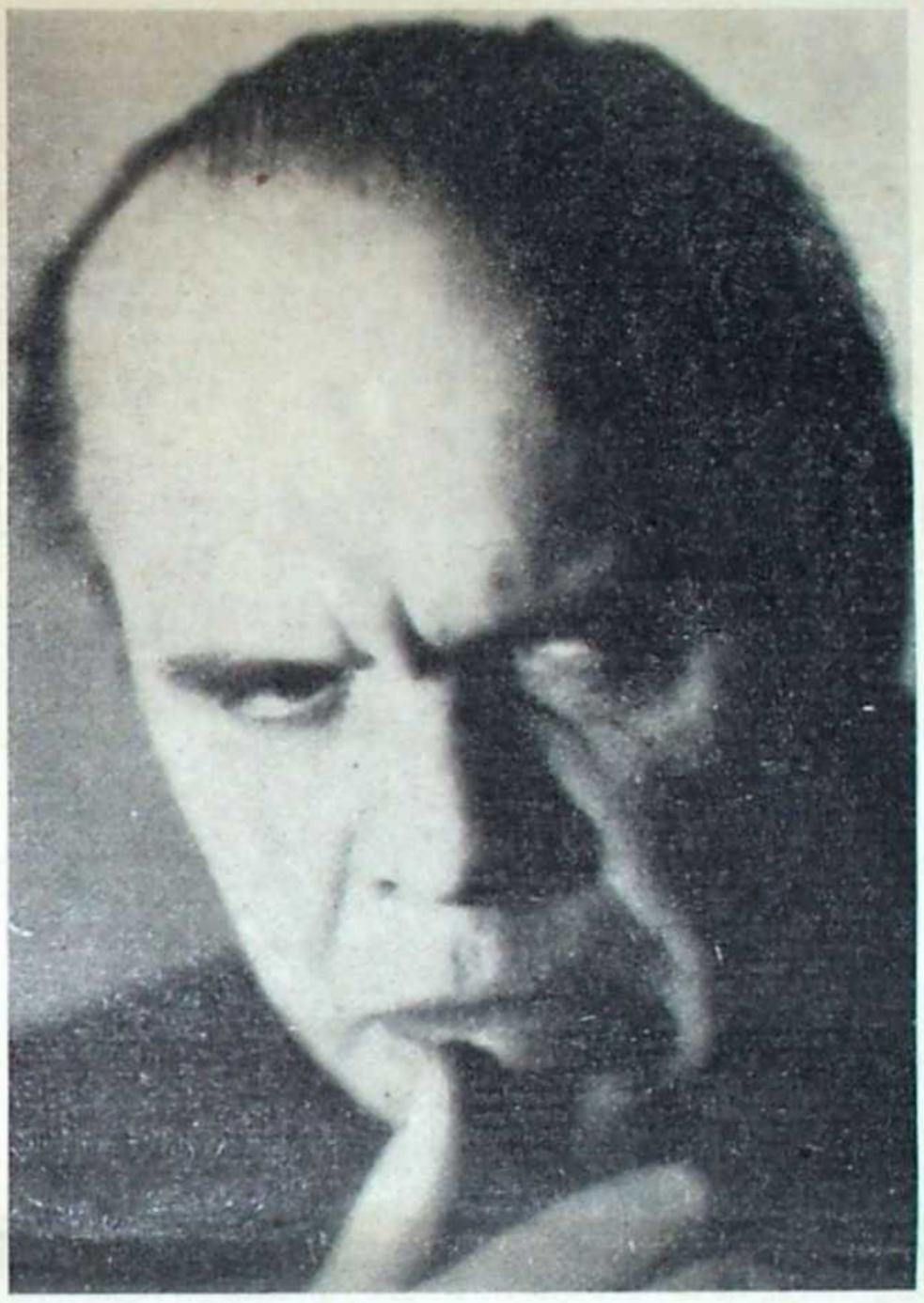

Interpelacje poselskie

Władysław Machejek

DO krzywdzących błędów należałoby zaliczyć również dzielenie wywłaszczonych po wojnie na stary i nowy portfel. Zasadę tego nowego portfelu już w praktyce się stosuje od dwóch lat, w wypadkach kiedy np. wywłaszcza się całą wieś. Posłużę się dla odmiany przykładami z Poznańskiego. Gdzieś w latach 1950—1951 zostali wywłaszczeni chłopi ze wsi Morzysław i Niesłuż koło Konina. Teren przeznaczono pod budowę kopalni węgla brunatnego. Trzeba, nie ma dyskusji. Tylko że chłopi w dużej części poszli na dziady, zamieszkali, gdzie ich los rzucił, pewna część z nich zdobyła pracę w kopalni, dojeżdżając dwadzieścia i więcej kilometrów. Następnie jednak wywłaszczanie w latach 1956, jeszcze przed VIII Plenum, w sąsiednich wsiach Gosławice i Pątnów odbyło się już po nowemu. Inwestor wliczył w przedsięwzięcie koszty wywłaszczenia, nabył w okolicy ziemię, wybudował przesiedlonym budynki. Nie ustrzeżono się szczwanych lisów, którzy straciwszy na przykład cztery kołki przy starej chacie, imitujące płot, kazali sobie płacić (kosztorys strat robiono po wywłaszczeniu) za porządne ogrodzenie pałacu itp. A tymczasem część chłopów z Morzysławia i Niesłuża wróciła na swoje pole, kiedy eksploatacja węgla skończyła się, niektórzy jakoś przetrzymali konika i wiosną tego roku wjechali z siewem na ziemię — „niczyją". Ma się rozumieć, na takiej ziemi, która została wywrócona na wierzch jałowym spodem, rzucone w glebę ziarno może oddać plon ledwie dwukrotny, trzykrotny.

Można by się więc spytać, czy są dwie sprawiedliwości — jedna dla Morzysławia, a druga dla Pątnowa... Retoryczne pytanie. Wbrew intencjom prawodawcy zaznaczyły się w praktyce dwie linie postępowania. Ale zawsze tak bywa i linie stają się bolesnymi zygzakami, gdy ustawa rozmija się z życiem. Życie nie da się skodyfikować, ono istnieje, więc trzeba skodyfikować ustawy, które istnieją wbrew życiu. Wtedy nie będzie sprzeczności w postępowaniu, spotkamy się ewentualnie tylko z nieudolnością lub złą wolą.

Rok 1957.

W stercie przywiezionych przez chłopów z Kacic listów do władz i dokumentów znalazłem takie oświadczenie napisane ręcznie przez pracownicę GRN:

„Ja, niżej podpisana, oświadczam, że w dniu 13.VII 1957 r. zostało wydane zaświadczenie ob. J. S. ... o użytkowanie gruntu zwanego karczmarówką, które to zaświadczenie podpisał przewodniczący.

W tym samym dniu, gdy ob. J. S. powracał z Miechowa (już było po godzinach urzędowych, sama wykonywałam pracę w biurze), przedłożył to zaświadczenie, na którym było dopisane parę słów ołówkiem, i nalegał, żebym tylko te parę słów dopisała... Że jedynie on ma prawo... Mówił również, że żądają tak samo okrągłej pieczątki.

Dokończenie na str. 4

Augustów: turystyka i...?

Romuald Wiśniewski

GENERAŁ J. Prądzyński, wykonując w latach 1823—29 projekt Kanału Augustowskiego, miał na celu połączenie żeglugowe Wisły z Niemnem, przez Bug, Narew i Biebrzę. Generała osadziły potem władze carskie w więzieniu, jednakże kanał był nadal budowany pod kierownictwem oficerów z Korpusu Inżynierskiego i w roku 1839 ukończony. Nigdy nie został natomiast wykonany drugi odcinek kanału, od Niemna do Windawy, który według zamysłu ministra Druckiego-Lubeckiego miał połączyć drogą wodną Królestwo Polskie z Bałtykiem, bez konieczności przepływania przez ujścia Wisły i Niemna, znajdujące się pod zaborem pruskim. Polscy kupcy i przemysłowcy musieli więc nadal płacić słone cła królowi pruskiemu, a kanał w swej kadłubowej postaci nie stał się nigdy wielką międzynarodową drogą wodną. Nie jest nią tym bardziej dziś i nie będzie w przyszłości — i to nie tylko dlatego, że zmieniła się mapa polityczna i gospodarcza Europy, lecz również i ze względów technicznych.

Kanał pozostał prawie nie zmieniony od momentu swego powstania i dziś jest za płytki i za wąski dla współczesnych barek towarowych. Pozostała mu natomiast rola, jakiej nie przewidywali projektanci, a mianowicie wielkiego szlaku turystycznego dla żaglówek, kajaków i statków spacerowych. Wraz z całym zespołem towarzyszących mu urządzeń, jak śluzy, mosty, nadbrzeża i budynki służby, pochodzących z połowy XIX wieku, stanowi unikalny, jedyny tego rodzaju w Europie zabytek. Większa część 101-kilometrowego kanału, bo aż 77,5 km, znajduje się po stronie polskiej, w całości w powiecie augustowskim. Z 18 śluz kanału, 14 jest po stronie polskiej.

Z kanałem związanych jest 7 rzek i 21 jezior. Dzięki temu właśnie powiat augustowski zalicza się do najpiękniejszych regionów turystycznych w kraju. Mamy bowiem i inne pojezierza, jak choćby łęczyńsko-włodawskie w woj. lubelskim (68 jezior o najcieplejszych wodach w Polsce), ale poza mazurskim żadne inne nie są ze sobą tak połączone, by umożliwiały pływanie na tak długiej trasie żaglówkami, a na dłuższych jeszcze kajakami.

Augustów już przed wojną należał do najmodniejszych miejscowości letniskowych, wzniesiono tam dwa duże obiekty, a mianowicie wojskowy dom wypoczynkowy i hotel towarzystwa turystycznego. Gwałtowny rozwój turystyki i wczasów, jaki obserwujemy od kilkunastu lat w Polsce, tu w Augustowie i okolicach jest szczególi-

Dokończenie na str. 4

Andrzej Guzek

O drzewie o ptaku

Drzewo pada jeszcze zielone
ziemia jak zbity pies
zadygocze pod ołowianą
bezwładnością pnia
później uciehnie
teraz tylko przelotna pamięć oczu
może na pustej deszczulce nieba
wyciosać zaginioną surowość gałęzi
z niespokojnym drżeniem palców
karconych wiatrem
i jeszcze
zapisz
oto najsmutniejszy ze wszystkich
widoków
obraz ptaka pełznącego
z przetrąconym skrzydłem
aby u ziemi spotkać chłodny
krzew ciemności
od niego
odwróciła się już synogarlica
błękitu
i lot zostanie tylko metaforą
spojrzeniem krzyczącym zawiść
do spadających liści
piskląt
z gniazd wyrzuconych w białą
wodę piasku

Lębork

Hanna Terpiłowska

* * *

Jesteś
pajęczyną oczu
ponad dachy potarganych kominów

jesteś
kołysaniem rąk
ponad głośne zawołanie twarzy

jesteś
zygzakiem ciszy
ponad szept skroplony na rzęsach

i słowami
w kolorycie warg
ponad samotność zatrzymanych
źrenic

Warszawa

Krzysztof Nazar

Łamanie kołem

Są
takie słowa
których nigdy nie ma

po prostu wychodzą na spacer
i najczęściej nie wracają nigdy
uciekają

kazałbym takie słowa
stawiać pod pręgierzem
dręczyć
łamać kołem

na takie słowa
umierają
najczęściej poeci

Kraków

Stanisław Kolada

Pejzaż

Droga skacze grzywą końską
wiatr wyciera kurz lipcowy
żyta wyrastają do chmur
falistym oddechem kłosów
wiatrak złamał rozmowę skrzydeł
stanął na wzgórzu jak spity
kawaler

spokój podparty kępką olszyn
kuleje do bielonych chałup

łąka gubi się jak wykrzyknik
zielony

nie ma co z siebie wlewać na skwar
las sinym krzemieniem
iskry krzesze w słonecznej ulewie

Wrocław

Aleksander Rozenfeld-Bożeński

Cogodzinnie cię czytam

Zonie

po stroniczce
zatrzymując się uważnie
na kropkach i
przecinkach ust, nosa i oczu
odwracając delikatnie
w nieświetle
kartony dłoni
kolorowe obrazki losu
korzę się prośbą
byś była jedyną lekturą
wszystkich twoich-moich nocy...
...ciągle nową

Kielce

teatrnn.pl

Kultura 1969

Zmarli

◆ W Paryżu — 91-letni profesor Mikołaj Piksanov, członek korespondent Akademii Nauk ZSRR, autor wielu prac o Puszkinie, Turgieniewie, Dostojewskim, Tołstoju i Czechowie, a także dzieł o teorii i metodologii w literaturze.

◆ W Szwajcarii — 56-letni Pierre-Jean Porret, tłumacz utworów Dürrenmatta na język francuski.

Literatura

◆ Z okazji 75-lecia prezes ZLP i znakomity pisarz Jarosław Iwaszkiewicz otrzymał olbrzymią ilość gratulacji. PIW przygotowuje ozdobną edycję „Sławy i chwały", a „Czytelnik" reprezentacyjne 3 tomy „Opowiadań zebranych". J. Iwaszkiewicz wraz z małżonką i córkami został przyjęty na specjalnej audiencji przez przewodniczącego Rady Państwa Mariana Spychalskiego i przedstawicieli najwyższych władz partyjnych i państwowych. Po wyzwoleniu wydano w Polsce 95 utworów znakomitego pisarza w łącznym nakładzie 1 355 tys. egz., tłumaczenia ukazały się w 17 państwach.

◆ W stulecie urodzin Wyspiańskiego PZWS wydały wznowienie książki „Stanisław Wyspiański — życie i dzieło" z obszerną przedmową prof. J. Z. Jakubowskiego, korespondencją poety, głosami krytyki polskiej i zagranicznej.

◆ Nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukazała się nowa książka Arkadego Fiedlera „Madagaskar, okrutny czarodziej".

◆ W nakładzie 6 tys. egz. ukazał się na Węgrzech tom opowiadań Tadeusza Różewicza w tłumaczeniu Jolan Cservenitsa.

◆ Bestsellerem na radzieckim rynku księgarskim okazała się książka „Notatnik rosyjski" Johna Reeda, autora głośnych „Dziesięciu dni, które wstrząsnęły światem". Rękopis przeleżał ponad 50 lat w bibliotece uniwersytetu w Harward.

⁂ Subskrypcja zbiorowego wydania dzieł Gorkiego w ZSRR zakończyła się niezwykłym sukcesem: 300 tysięcy zgłoszeń. Wydanie obejmie 50 tomów.

◆ Laureatem francuskiej Prix Ciceron za najlepszą powieść szpiegowską w tym kraju został 48-letni oficer wywiadowczy policji Roger Maury, pisujący pod pseudonimem Lacky Fray.

◆ Przed rokiem włoskie miasteczko Sestri Levante, w którym mieszkał i tworzył Andersen, ogłosiło konkurs na najpiękniejszą bajkę. Pierwszą laureatką została Maria Remiddi, redaktorka włoskiego wydania „Courrier de l'Unesco" za „Testament króla", dwie następne pisarze duńscy.

◆ Pisarz francuski Michel Dard wydał drugą książkę pt. „Les Années profondes". Dard ma 60 lat, a debiutował dopiero przed rokiem powieścią „Mélusine", za którą został nagrodzony.

Sztuka

◆ Ogromne zainteresowanie wywołała w Rydze wystawa polskich tkanin artystycznych. Wystawiało 27 autorów.

◆ „Romantyzm w malarstwie francuskim" — to tytuł wystawy, otwartej w leningradzkim Ermitażu, obejmującej 77 obrazów.

⁂ Nagrodę malarską UNESCO za rok 1968 otrzymał malarz hiszpański Manolo Hernandez Mompo, urodzony w 1927 r. Nagrodę przyznaje się co dwa lata.

◆ W rzymskiej „Galerie Farnèse" wystawiono 50 obrazów-kompozycji metalowych Mikołaja Schoffera, zeszłorocznego laureata Biennale w Wenecji. Dzięki różnokolorowym reflektorom, oświetlającym te „metalowe obrazy", efekt podobno był niezwykły.

◆ W norweskim mieście Moss otwarto wystawę zakopiańskiego artysty-plastyka Władysława Hasiora. Telewizja norweska nadała obszerny reportaż z wystawy.

⁂ W londyńskiej Tate Gallery urządzono wystawę retrospektywną belgijskiego malarza surrealistycznego Rene Magritte. Obrazy umieszczono w sali, którą przekształcono w labirynt i zwiedzający nie bez trudu znajdują wyjście.

◆ Wielkim wydarzeniem w Rzymie stała się wystawa fotografii radzieckiego fotoreportera Dymitra Baltermantsa. W czasie wojny wykonał on ok. 113 tys. zdjęć, towarzysząc wojsku od Moskwy do Berlina.

23-letnia Sydne Rome nie mogła zrobić kariery ani w Rzymie ani w USA, gdzie się urodziła. Pierwszą większą rolę otrzymała dopiero w Londynie w filmie „Some Girls Do" i od tego czasu jest zasypywana wciąż nowymi propozycjami.

Teatr

◆ Warszawski Teatr Współczesny wystąpił z prapremierą sztuki Ernesta Bryll „Po górach, po chmurach", współczesnej pastorałki polskiej. Reżyserował Erwin Axer, scenografia Ewy Starowieyskiej, muzyka Zbigniewa Turskiego.

◆ Jesienią odbędzie się w ZSRR festiwal polskich sztuk teatralnych z udziałem teatrów wszystkich republik. Równocześnie odbędzie się polsko-radzieckie sympozjum o problemach współczesnej reżyserii.

◆ Ostre kontrwersje budzi sztuka autora szwajcarskiego Oscara Panizza „Sobór miłości", której tematem jest rozprzestrzenienie się syfilisu w Europie. Jej tekst w wydaniu kieszonkowym opublikowano przed trzema laty, ale dopiero teraz wystawiono ją w jednym z teatrów paryskich.

◆ W każdą sobotę po południu do teatru w Strasburgu może przyjść każdy, zwiedzić cały budynek i swobodnie przysłuchiwać się próbom zespołu. Dyrektor Gignoux oraz aktorzy odpowiadają na wszystkie pytania zwiedzających. Chodzi o większe zainteresowanie publiczności teatrem.

◆ Nowa sztuka Sartre'a „L'Engrenage" pokazuje życie szefa państwa, który zdobył władzę dzięki rewolcie, a potem sam staje przed sądem kolejnego „rządu rewolucyjnego".

◆ Policja w Madrycie w ostatniej chwili zakazała wystawienia sztuki „Les deux bourreaux", której autorem jest dramaturg hiszpański Fernando Arrabal, od 15 lat żyjący na dobrowolnym wygnaniu.

Muzyka

◆ 22 lutego, w 152 rocznicę urodzin Fryderyka Chopina, uprzystępniono publiczności przywrócony do dawnego stanu salonik Chopinów w gmachu, zajmowanym obecnie przez Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Kompozytor mieszkał tu do 1830 r.

◆ Od połowy czerwca do końca sierpnia odbędzie się w Kamieniu Pomorskim doroczny festiwal muzyki organowej i kameralnej, tym razem już w obsadzie międzynarodowej.

⁂ W drugiej połowie marca wystąpi w Rumunii z 6 koncertami francuska orkiestra radiowa pod dyrekcją Roberta Benzi.

◆ Głośny bas-baryton bułgarski Borys Christoff został laureatem nagrody duńskiej: „Leonie Sonning". Otrzyma ją 6 czerwca w czasie koncertu w Kopenhadze.

◆ Międzynarodowy konkurs skrzypcowy dla konkurentów od 16 do 29 lat odbędzie się w czerwcu. Program dwóch eliminacji już opublikowano. Utwór do trzeciej eliminacji konkurenci otrzymają na miejscu i będą musieli go przygotować w ciągu tygodnia.

◆ W Kairze luty był poświęcony kulturze francuskiej. M. in. występował balet opery paryskiej i urządzono wystawę współczesnej sztuki malarskiej.

◆ Tegoroczny festiwal w Montreux odbędzie się od 25 września do 5 października. Jak zapowiadają programy jedną z najciekawszych i oryginalnych imprez będą dwa wieczory pod nazwą „Fistulatores et Tubicinatores varsovienses" w wykonaniu 14 śpiewaków i orkiestry szwajcarskiej, a obejmujące utwory ze średniowiecza i renesansu.

Różne

⁂ Wydawnictwo radzieckie „Młoda Gwardia" zapowiada wydanie w 100 tys. egzemplarzy książki radzieckiego historyka W. Diakowa o Jarosławie Dąbrowskim.

◆ W Rzymie obchodzono uroczyście 60-lecie ogłoszenia głośnego manifestu futurystów. Była obecna wdowa po autorze manifestu pani F. T. Marinetti, a także ostatni z żyjących pierwszych futurystów malarz Marasco.

◆ Ponad 25 państw ma wziąć udział w pierwszych Targach Książki, które organizuje Nicea w początkach czerwca. Równocześnie odbędzie się wiele imprez kulturalnych.

◆ W Zurychu wydano w formie facsimile „Psałterz z Moguncji", którego oryginał pochodzi z 1457 r. Do naszych czasów przechowało się zaledwie dziesięć egzemplarzy tego dzieła, najlepiej zachowany znajduje się w jednej z bibliotek w Wiedniu.

◆ Jeden z wydawców londyńskich publikuje książki, które są drukowane na pojedynczych kartkach, ułożonych bez ładu w metalowych pudełeczkach. Twierdzi, że w ten sposób czytelnik nie może przeczytać książki od końca, a trud włożony w uporządkowanie kartek zbliża go do książki.

◆ Orkiestra opery w Monte Carlo w czasie jednego z przedstawień przerwała grę na pół godziny, protestując przeciw niesłusznemu jej zdaniem zwolnieniu jednego z muzyków.

◆ 68-letnia już Lucienne Boyer, sławna głównie dzięki piosence „Parlez-moi d'amour", kończy karierę występami w Kanadzie, USA, Meksyku i Japonii.

◆ Dzienniki i wiadomości lokalne w telewizji amerykańskiej cieszą się coraz większą popularnością. Np. w Los Angeles zajmują one codziennie dwie godziny, podczas gdy informacje krajowe tylko pół godziny.

Film

◆ W Tatrach trwają zdjęcia do filmu fabularnego „Znicz olimpijski" w reżyserii L. Lorentowicza, wg scenariusza Z. Skowrońskiego. Treść oparta jest na autentycznych zdarzeniach z ostatniej wojny.

◆ W Tallinie reżyser W. Klasper zaczął nakręcanie filmu „Gladiatorzy" według epopei estońskiego pisarza Hinta „Brzeg wiatru". Jest to historia skomplikowanych losów człowieka, który w końcu włącza się do ruchu rewolucyjnego.

◆ Ostatni zeszyt periodyku francuskiego „Etudes cinematographiques" jest poświęcony w całości polskiemu reżyserowi A. Wajdzie.

◆ Pod koniec marca odbędzie się w Rio tradycyjny festiwal filmowy. Ale reprezentanci brazylijscy z tzw. „Cinema novo" postanowili imprezę zbojkotować, ponieważ do komitetu organizacyjnego nie zaproszono trzech, a tylko dwóch producentów, reprezentujących „cinema novo".

◆ Stowarzyszenie krytyków nowojorskich uznało za najlepszy film roku nakręcony w języku angielskim „Lwa w zimie" z Katherine Hepburn i Peterem O'Toole w rolach głównych. W filmach zagranicznych czołowe miejsce zajął film radziecki „Wojna i pokój".

Kamena str. 2

Notes „Kameny" Józef Barecki

Czas przeszły

ROK 1968 przyniósł wiele rozczarowania tym wszystkim ideologom kapitalizmu, którym wydawało się, że znaleźli sposób na powstrzymanie komunizmu.

Przez pewien czas po II wojnie światowej Amerykanie byli przeświadczeni, że nikt nie może zagrozić ich bezpieczeństwu, posiadali bowiem nie tylko największy potencjał ofensywnych broni, ale i względnie skuteczną w owych czasach obronę. Pewnego dnia okazało się jednak, że to wszystko należy już do przeszłości. Zachód stracił przewagę militarną nad wspólnotą socjalistyczną. Wystrzelenie przez Związek Radziecki pierwszego sputnika zmusiło Amerykanów do tego, by raz na zawsze pożegnać się z nadzieją, że przyszła wojna — jeśli wybuchnie — ominie ich terytorium. Skończył się szantaż nuklearny.

W postawie imperializmu wobec postępowych ruchów, przede wszystkim wobec wspólnoty socjalistycznej, pojawiło się to, co nazwaliśmy wojną psychologiczną.

Warto się przez chwilę zastanowić nad pewną sprawą. Im lepiej poznajemy motywy, które wypchnęły grupę ideologów kapitalizmu na pierwszy front walki z socjalizmem i sprawiły, że propagandysta zajął miejsce wojskowego, radiostacja zastąpiła baterię ogniową, a film, sztuka i wydawnictwa zaczęły pełnić rolę ugrupowań dywersyjnych, tym bardziej ujawnia się wyjątkowo zakłamany charakter kampanii antykomunistycznej.

Ruch robotniczy powstał z protestu przeciwko systemowi krzywdy społecznej. Ideologii uzasadniającej kapitalistyczny wyzysk przeciwstawił dążenie do sprawiedliwości społecznej, przeciwstawił ideologię klasy, która stanęła na stanowisku, że wszyscy ludzie mają prawo do godnego życia. Czas nie przyniósł zmiany w nieludzkiej treści ustroju kapitalistycznego, zmienił co najwyżej jego formy. 12-godzinny dzień pracy w kopalniach i wyzysk nieletnich zastąpiony został taśmą, która wydajność ludzkiej pracy utrzymuje na granicy możliwości; demokracja burżuazyjna z pozornie wolną grą sił przesłoniła fakt, że państwem kapitalistycznym nadal rządzą monopole i elity najbogatszych posiadaczy.

Trzeba było mieć nie lada tupet, by ideologii socjalistycznej wydać walkę właśnie ideologiczną. Tupetu jednak nigdy nie brakowało naszym przeciwnikom.

Słowo — demokracja jest najczęściej używanym słowem w walce z socjalizmem. Ten dziwoląg najlepiej chyba tłumaczy, dlaczego owej walce nadano nazwę: wojna psychologiczna. Ci, którzy ideologię klasy robotniczej, realizującej marzenia wielu pokoleń, zwalczają w sposób, który ma uzasadnić, że ich ideologia jest lepsza, bardziej wartościowa, nie są szalbierzami, ale bardzo wytrawnymi graczami politycznymi.

W tej wojnie stawiają oni na niedojrzałość grup społecznych, które awansowały ekonomicznie i kulturalnie zanim mogły sobie uświadomić zależność tego awansu od przemian społecznych. Psychologia jest nauką o postępowaniu człowieka w różnych warunkach społecznych. Autorzy wojny psychologicznej nie wahają się użyć żadnego kłamstwa, byle tylko stworzyć sytuację, zdolne wywołać postawy antysocjalistyczne. Kiedyś czynili to krytykując socjalizm i nawołując do jego likwidacji. Od niedawna, wobec wzrostu autorytetu socjalizmu, „przeszli" sami na naszą stronę, pozornie zaakceptowali socjalizm, nawołując „tylko" do jego ulepszenia. Nie krytykują go, jak dawniej, w sposób totalny, ale — w rzekomej trosce o jego rozwój — „podpowiadają", co w nim należy zmienić. Nie twierdzą już, że nie da się pogodzić kapitalizmu i socjalizmu, ale na odwrót — robią wszystko, by udowodnić, że możliwe, ba — konieczne jest zbliżenie obu systemów, zlikwidowanie wzajemnych różnic i doprowadzenie do swoistej symbiozy.

Rok 1968 wykazał w praktyce, jak owa symbioza miałaby wyglądać. Nie był to zresztą pomyślny rok dla strategów wojny psychologicznej. *Pokojowe współistnienie rozwijało się tak wspaniale* — westchnął po 21 sierpnia antykomunista B. Brzeziński. — *Szkoda, że zostało przerwane.* Można by dzisiejszą sytuację w stosunkach między Wschodem i Zachodem porównać z okresem sprzed kilkunastu lat. Wtedy Amerykanie utracili swoją przewagę militarną, dzisiaj załamała się ich ofensywa psychologiczna.

Lekcja 1968 roku nie pozbawiła jednak jeszcze złudzeń tych wszystkich, którzy myśleli, że uda się przerzucić na Wschód mosty dla powrotu starych stosunków społecznych. W prasie zachodniej, zwłaszcza w pismach reprezentujących koła zaangażowane w wojnie psychologicznej, pojawia się nadal wiele materiałów, które podrzucają nam skompromitowane propozycje, roztaczają perspektywę pojednania między socjalizmem i kapitalizmem.

Wśród ostatnich publikacji wyróżnia się szczególnie artykuł w zachodnioniemieckim socjaldemokratycznym czasopiśmie „Frankfurter Hefte". Autor rozważań stara się traktować z jednakową „sympatią" kapitalizm i socjalizm. Nic w tym dziwnego, ponieważ rzecz cała poświęcona jest uzasadnieniu potrzeby zbliżenia obu systemów, pogodzenia ich w imię jakichś ponadklasowych celów ludzkości. W jaki sposób? — *Możliwość ta* — pisze autor — *mogłaby polegać na zapewnieniu pokoju drogą powolnych przemian i zbliżenia obu obozów, w których procesie różnice istniejące nadal stałyby się sprawą marginesową i w obliczu podstawowej tożsamości celów nie kryłyby groźby poważniejszych konfliktów...* Pismo nie ogranicza się do tego, ale pokazuje elementy, które rzekomo po obu stronach barykady tworzą już punkty styczne, pozwalające zacierać różnice między systemami. W kapitalizmie jest to potrzeba centralnego planowania inwestycyjnego, w socjalizmie — potrzeba decentralizacji. Przykład niepoważny, rzecz bowiem sprowadza się nie do form zarządzania, ale do charakteru własności i największa nawet centralizacja planowania w państwie kapitalistycznym nie zmieni charakteru kapitalizmu. Ciekawy jest jednak inny przykład. *Wśród innych cech zasługujących na uwagę* — piszą „Frankfurter Hefte" — *wskazać należałoby na powstanie w obu ustrojach elity władzy złożonej ze specjalistów — menażerów, którzy w miarę rozwoju przemysłu i techniki sprawują coraz bardziej podobne funkcje, a tym samym mogliby siebie nawet nawzajem zastępować.* To już jest konkretniejszy argument, rzucający nieco więcej światła na charakter zbliżenia, proponowany przez zachodnioniemieckie pismo. Z braku miejsca trudno przytaczać inne przykłady, autor artykułu wymienia ich wiele, wszystkie mają uzasadnić tezę, że nie ma w zasadzie między obu systemami takich różnic, których nie dałoby się usunąć. Rzecz jednak w tym, że ten proces przebiegałby jednostronnie, socjalizm bowiem miałby być tą stroną, która dokonywałaby zbliżenia z kapitalizmem, rezygnowała ze swojej społecznej treści. Wyznaje to mimowoli autor, gdy na koncie swych rozważań przyznaje, że *istota kapitalizmu polega na tym, iż w wyniku działania praw konkurencji musi on nieustannie rozszerzać zasięg swego panowania, kierując się równocześnie potrzebą własnego bezpieczeństwa, które może być zapewnione tylko w wyniku ekspansji ustroju kapitalistycznego.*

„Frankfurter Hefte" nie są odosobnionym przykładem, podobne publikacje zapełniają wydawnictwa zachodnie, teoria konwergencji czyli wzajemnego rzekomo przenikania jest tematem różnych sesji naukowych i pseudonaukowych. Nadzieje na rozmiękczenie socjalizmu są zbyt pociągające, by można było z nich tak szybko zrezygnować. My wiemy, że są to tylko nadzieje. Ale ci, którzy na nie liczyli, nie chcą jeszcze zrozumieć, że należy o nich mówić już tylko w czasie przeszłym!

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

⁂ Na Białostocczyźnie istnieją liczne skupiska mniejszości narodowościowych, posiadające zespoły artystyczne, kultywujące własny folklor i tradycje ludowe. Dla uczczenia 25-lecia Polski Ludowej postanowiono zorganizować Wojewódzki Przegląd Zespołów Artystycznych Mniejszości Narodowościowych, w którym wezmą udział trzy zespoły ukraińskie, sześć litewskich, trzy rosyjskie i kilkadziesiąt białoruskich.

⁂ Z inicjatywy Białostockiego Towarzystwa Kultury, Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, Klubu MPiK i redakcji „Kontrastów", co dwa tygodnie w Klubie MPiK odbywać się będą spotkania miłośników Białostocczyzny poświęcone historii, teraźniejszości i perspektywom rozwojowym Ziemi Białostockiej oraz wybitnym ludziom tego regionu. Pierwsze spotkanie na temat „Polska na powiatach stoi" prowadził red. Ryszard Kraśko, autor artykułu pod tym tytułem zamieszczonego w „Kontrastach".

⁂ W związku z obchodami 51 rocznicy Armii Radzieckiej w hallu kina TPPR wystawiono kilkadziesiąt reprodukcji znanych dzieł sztuki, związanych tematycznie z Armią Radziecką.

KIELCE

⁂ Patronat Filharmonii Narodowej nad życiem muzycznym Radomia przynosi bardzo dobre rezultaty. Dzięki niemu radomscy melomani mieli możność wysłuchania recitalu światowej sławy pianisty, Witolda Małcużyńskiego, który bawi gościnnie w Polsce.

⁂ W Klubie MPiK zorganizowano wystawę dorobku edytorskiego Kieleckiego Towarzystwa Naukowego. W okresie dziesięciolecia działalności Towarzystwa ukazało się dwanaście pozycji książkowych z zakresu historii regionu, archeologii, socjologii, posiadających znaczną wartość naukową. Redaktorem wydawnictw był wieloletni prezes Towarzystwa, prof. Edmund Massalski.

⁂ Towarzystwo Miłośników Skarżyska, Prezydium MRN i oddział PTTK w Skarżysku zabiegają o utworzenie społecznego muzeum miejskiego. Adaptowano do tego celu zabytkowy budynek, w którym mieściła się kiedyś administracja staszicowskiej huty. Podstawą ekspozycji będą bogate i ciekawe zbiory inż. Stanisława Sławińskiego oraz kolekcja białej broni oficera MO, kpt. Henryka Gruszki. Dużą pomoc w zrealizowaniu tej cennej społecznej inicjatywy okazuje Muzeum Świętokrzyskie.

⁂ Z okazji 10-lecia Telewizji na Kielecczyźnie, otwarto w WDK wystawę obrazującą dorobek regionu w tej dziedzinie. Otwarcie wystawy połączono z pokazem telewizji kolorowej, który wzbudził ogromne zainteresowanie mieszkańców Kielc.

⁂ Na terenach przyległych do Kielc od strony południowej planuje się utworzenie wojewódzkiego parku kultury i wypoczynku. Wojewódzka Pracownia Urbanistyczna powołała zespół specjalistów, pod kierownictwem mgr inż. arch. Antoniego Mąsiora, do przygotowania projektu wstępnego.

LUBLIN

⁂ Towarzystwo Śpiewacze „Echo" w Lublinie obchodziło jubileusz 40-lecia istnienia. Koncert jubileuszowy, którym dyrygował Adam Natanek, wypełniły utwory kompozytorów, polskich i obcych. Zaprezentowano również prawykonanie „Pieśni obozu śmierci" — utworu niemieckiego Żyda, Konrada Manna, b. więźnia obozu w Treblince.

Stefan Wójtowicz — ludowy artysta malarz z Bełżyc

⁂ Teatr Akademicki „Gong II" wystąpił z kolejną, dwudziestą już, premierą. Na ten jubileusz Janusz Misiewicz i Andrzej Rozhin przygotowali adaptację powieści Stanisława Grochowiaka „Trismus". Reżyseria — Andrzej Rozhin, scenografia — Elżbieta i Leon Barańscy, ilustracja muzyczna — Stanisław Pawluk.

⁂ W Bibliotece Uniwersyteckiej czynna była wystawa książek UNESCO, zorganizowania staraniem Ośrodka Rozpowszechniania Wydawnictw Naukowych PAN i Polskiego Komitetu do spraw UNESCO. Na wystawie zgromadzono około 350 książek stanowiących fragment dorobku edytorskiego UNESCO z ostatnich lat.

⁂ W Miejskim Domu Kultury odbył się estradowy turniej reprezentacji Rzeszowa i Lublina pn. „Wiedza sąsiedzi...". Celem imprezy było pokazanie w atrakcyjnej formie dorobku kulturalnego obu miast.

⁂ W klubie WDK prezentuje swoje rysunki i akwarele Tadeusz Różycki, malarz amator z Białej Podlaskiej.

RZESZÓW

⁂ Łańcucka Składnica Zabytków Ruchomych powstała w 1961 r., kiedy to ówczesny konserwator zabytków wystąpił z inicjatywą ratowania zabytków pocerkiewnych. Obecnie w ewidencji łańcuckiej składnicy znajduje się około 7 000 zabytkowych przedmiotów. Każdy zabytek posiada swoją dokumentację, stanowiącą jego wstępne opracowanie naukowe. Prowadzą ją historycy sztuki — mgr Joanna Szczękowa, kierowniczka składnicy, oraz mgr Julian Ataman.

Wojewódzka Spółdzielnia Spożywców w Rzeszowie zaangażowała grono plastyków do wykonania plansz reklamujących turystom jej placówki.

⁂ W ramach współpracy naukowej między rzeszowską WSP a Instytutem Pedagogicznym w Drohobyczu (woj. lwowskie), w Rzeszowie przebywali: prorektor d/s naukowych Instytutu doc. D. Nadymianow i kierownik katedry fizyki, doc. I. Żmurko.

⁂ Na Rzeszowszczyźnie przebywali członkowie Klubu Reżysera Amatora, działającego przy WDK w Lublinie. W czasie trzydniowego pobytu spotkali się oni z zarządem miejscowego Klubu Reżysera Amatora, zespołem Towarzystwa Dramatycznego „Fredreum" w Przemyślu oraz członkami Teatru Poezji PDK w Sanoku.

◆ W Domu Sztuki czynna jest wystawa Jerzego Sienkiewicza, redaktora graficznego „Nowin Rzeszowskich". Zgromadzono na niej 40 prac wykonanych farbami drukarskimi. J. Sienkiewicz jest jedynym twórcą w Polsce, posługującym się taką techniką.

Opowiadania IWASZKIEWICZA

Maja E. Cybulska

Fot. Danuta B. Łomaczewska

IWASZKIEWICZ należy do tych pisarzy, którzy w ostatnim pięćdziesięcioleciu naszej literatury „nobilitują" formę opowiadania. I jest to zabieg, jak się wydaje, w pełni świadomy, przejawiający się w konsekwentnym realizowaniu przyjętych artystycznych i ideowych założeń. Walory te stanowiły podstawę licznych krytycznych konstatacji, które wskazywały linię ewolucji epiki Iwaszkiewicza. Pomimo jednak wielu słusznych i konstruktywnych wniosków, wysuwanych przez Wykę, Sandauera i Kubackiego, trudno jest oprzeć się wrażeniu, że mamy tu przykład twórczości nastręczającej ciągle niespodzianki, wymykającej się rygorystycznie narzuconym badawczym narzędziom. Przyczyny tego faktu tkwią, być może, w braku dostatecznego dystansu wobec pisarstwa ponawiającego ciągle te same wątki i motywy oraz ujęcia stylistyczne, wbrew panującym modom, lansowanym tendencjom, zaakceptowanym wymogom i nakazom. W świetle niniejszych przekonań o profilu twórczości Iwaszkiewicza świadczy wyznanie zawarte we wstępie do „Nowel włoskich", które powstały głównie w okresie wojennym i stanowią swoistą cezurę pomiędzy osiągnięciami twórczymi okresu przedwojennego a dokonaniami po 1945 roku: *Nie ma w niej* (książce „Nowele włoskie" — przyp. MC) *żadnej ucieczki ani też strusiego ukrywania głowy w piasek, jest tylko zwrot do tych pierwiastów naszego życia, które zawsze pozostaną aktualne. (...)Miłość, przyjaźń, przygoda — najstarsze elementy opowieści — stały się dla mnie najświeższym wynalazkiem. Starałem się spostrzec poza nimi wszystko wieczne zawarte w pięknie przyrody — i w bezustannie zmiennych, ale o tym samym wciąż mówiących kształtach najdoskonalszego tworu ludzkiego — sztuki.*

Uwrażliwienie Iwaszkiewicza na sztukę, najpopularniejszy w ocenie krytyki i czytelników aspekt twórczości, widziano w różnych realizacjach twórczych zamierzeń: w kreowaniu postaci artystów, w uwypukleniu środków ekspresji lirycznej, malarskiej, muzycznej, w w estetycznym podziwie wyrażanym dla piękna dzieł sztuki i architektury, rzeźby i malarstwa, odzwierciedlonych w szkicach podróży do Włoch i Danii, w recenzjach literackich i esejach. Wydaje się jednak, że istota sprawy nie tkwi wyłącznie w ponawianiu tematów, których przedmiotem jest sztuka czy artysta. Zajmują one stosunkowo niewiele miejsca w epice Iwaszkiewicza. Zademonstrowane w powieściach „Hilary syn buchaltera", w „Pasjach błędomierskich", w „Sławie i chwale" nie potwierdzają w pełni sądów o rzekomej dominacji tej właśnie problematyki.

Afirmacja sztuki w pisarstwie Iwaszkiewicza polega na wskrzeszeniu motywów literackich zasygnalizowanych w różnych kręgach tradycji europejskiej kultury od romantyzmu poprzez realizm krytyczny, naturalizm, psychologizm po nurty współczesne. Ślady odnawiania zakorzenionych w literackiej tradycji tematów i stylów rzutują na wymowę wczesnych epicko-lirycznych dokonań Iwaszkiewicza, zaznaczonych w prozie „Legend i Demeter". Dowodem silnych związków ze sztuką są opowiadania „Brzezina" i „Panny z Wilka", świadomie nawiązujące do wzorców prozy psychologicznej czy naturalistycznej. Główny nurt opowiadań powiela istotne dla literatury zagadnienia drogą nawiązania do utrwalonych metod narracji („Zygfryd", „Róża"), wyeksponowania różnych typów konfliktów („Anna Grazzi" — „Śmierć w Wenecji" Tomasza Manna, „Kongres we Florencji" — „Pierwsza miłość" Turgieniewa), a także przez wplecenie w tok akcji odautorskiego komentarza, wskazującego na pierwowzory przedstawionych zdarzeń. O żywotności scharakteryzowanej wyżej tendencji decydują opowiadania powojenne Iwaszkiewicza: „Wzlot" nawiązujący do „Upadku" Camusa, „Tatarak" do „Oszukanej" Manna.

Co więcej, w twórczości tej występuje zjawisko ciągłej interpretacji motywów reprezentowanych we własnej twórczości. Nie ulega bowiem wątpliwości jedność problematyki i sposobu jej ujęcia w „Młynie nad Utratą" i „Walcu Mefisto", opowiadaniach „Cienie" i niektórych wątków powieści „Księżyc wschodzi", „Opowiadania z kotem", techniki narracji „Demeter", „Kościoła w Skaryszewie" i konfliktów odzwierciedlających historiozoficzną refleksję w „Matce Joannie od Aniołów".

Wymowa przytoczonych faktów polega nie tylko na wskazaniu podobieństwa pomiędzy twórczością Iwaszkiewicza a manifestacjami literackimi kręgu literatury europejskiej. Charakter prozy Iwaszkiewicza jest konsekwencją zaakceptowanej przez pisarza postawy stylizatorskiej i aluzyjnej. Jej rodowód zakorzeniony jest w konwencji modernizmu. Lecz ponad pięćdziesięcioletni dystans, dzielący współczesność od Młodej Polski i nurtów postmodernistycznych, skłania do oceny pisarstwa Iwaszkiewicza w kategoriach różniących się od tych, jakie niosą ze sobą znaczenia pojęć: estetyzm i artystostwo.

Zakładają one przeciwstawienie się nakazom aktywnego uczestnictwa w zdarzeniach i przemianach, jakie narzuca otaczająca rzeczywistość. Lecz cała twórczość Iwaszkiewicza przeczy podobnym interpretacjom. Postawa aluzyjna, jaką Iwaszkiewcz reprezentuje, polega na interpretowaniu i uaktualnianiu występujących w kulturze europejskiej nurtów w ich związku z rzeczywistością, z określonymi problemami i niepokojami, charakterystycznymi dla danej epoki. Jako przykład posłużyć tu może opowiadanie „Zygfryd", nawiązujące do „opowieści cyrkowej" w stylu Carmen Sylvy oddające współczesny autorowi punkt widzenia odnośnie problemów sztuki, postawy estetyzującej i roli inteligenta w rozstrzyganiu zawiłych konfliktów moralnych. W „Bitwie na równinie Sedgemoor" historia daremnego poświęcenia dziewczyny jest autentyczna. Opowiada o niej Macaulay w „Dziejach Anglii". Lecz tekst ten posłuży właśnie Iwaszkiewiczowi w wyrażeniu swoich poglądów na teraźniejszość. Wybór konwencji stylistycznych i tematyki — odzwierciedlających aluzyjne zamierzenia Iwaszkiewicza — jest więc podyktowany potrzebami, jakie narzucają konflikty codzienności.

Nie jest bez znaczenia fakt, że obok realizacji stylizatorskich i aluzyjnych postulatów występuje w opowiadaniach i powieściach Iwaszkiewicza potężny nurt, odtwarzający aktualnie przeżytą, zasłyszaną czy zaobserwowaną sytuację, gdzie występujące realia wskazują na konkretny grunt, z którego przedstawione zdarzenie wyrasta. Nurt ten jest jednakowo żywy zarówno w twórczości przedwojennej jak i powojennej pisarza. Świadczą o tym „Słońce w kuchni", „Śniadanie u Teodora", powstałe przed rokiem 1939 i opowiadania z tomu „Opowieści zasłyszane", „Dziewczyna i gołębie", „Opowiadanie szwajcarskie" — przykłady dokonań po 1945 roku. W opowiadaniach tych zauważamy dbałość autora o oddanie realizmu przeżyć, typowość postaw, uwypuklenie szczegółów znamionujących reakcje postaci wobec systemu norm narzuconych uwarunkowaniami takiej a nie innej rzeczywistości.

Ważną cechą tego nurtu twórczości jest kreowanie sylwetek bohaterów, którzy bezpośrednio wyrażają pogląd autora na przemiany współczesności. Nie stanowią one wyłącznie pretekstu do wysuwania wniosków o aktualności procesów psychicznych i moralnych, utrwalonych w literackiej tradycji. Bohaterami opowiadań Iwaszkiewicza są zatem wyrostek uwikłany w wydarzenia okupacji, inżynier przeżywający kryzys samotności, rodzina emigrantów pokonująca barierę obcości w odległym od Polski kraju. Bohaterowie ci realizują postawę, którą nazywano kiedyś „heroizmem codzienności", gdzie dominuje motyw szlachetnej rezygnacji lub poświęcenia, negacji lub pogodzenia się z zaakceptowanymi powszechnie nakazami wobec konieczności ciągłego dokonywania wyboru w typowych egzystencjalnych sytuacjach. Kontynuacja powyższej problematyki sytuuje opowiadania Iwaszkiewicza w nurcie prozy, której tradycyjnie nadaje się miano realistycznej, a która wskazuje na wzorce Conrada, Czechowa lub Żeromskiego.

Obydwie, wyżej przedstawione tendencje spaja tylko Iwaszkiewiczowi właściwy sposób odtwarzania i przeżywania świata i wypływający stąd metafizyczny niepokój. W warstwie opisowej, a także w wielu konfliktach apeluje Iwaszkiewicz do intuicji, wrażeń, wyobraźni, doznań. Ten nurt prozy, doprowadzony do perfekcji, stanowi wyraz kultu życia, pochwałę witalizmu, biologii, ciała, przyrody, stanowi podstawę metafizycznej refleksji, gdzie, tak jak w „Tataraku", koniec ma jakieś tajemnicze związki z początkiem. Ton, dźwięk, woń, jak echo odpowiadają z końca w koniec żywota.

Nastrojowość, atmosfera prozy Iwaszkiewicza wskrzesza motywy filozofii Bergsona i Nietzschego. Pobrzmiewają tu echa pogańskich kultów i ożywienia tradycji dionizyjskiego mitu, mitu śródziemnomorskiego tak aktualnego w literaturze okresu modernizmu i dwudziestolecia międzywojennego. W opowiadaniach powojennych reminiscencje z Nietzschego, Schopenhauera, akceptacja koncepcji „elan vital", pozostają nadal żywe; w odrębnych konfliktach narzucanych przez rzeczywistość, w odmiennych uwikłaniach występują w „Kochankach z Marony", „Tataraku", „Cieniach", w „Walcu Mefisto". Szczególnym wyrazem obecności tych wątków jest kreacja postaci obdarzonych niezwykłą wrażliwością, analiza ich reakcji z punktu widzenia psychofizycznych uwarunkowań, i uwypuklenia silnych związków z naturą. Koncepcja osobowości, przyjęta przez Iwaszkiewicza w początkach kształtowania pisarstwa, ilustruje wielorakie aspekty jego poglądów. (Abstrahujemy tu od faktu, iż typ wyrażliwości bohatera nie przystaje częstokroć do ram zakreślonego konfliktu i stanowi o psychologicznych niekonsekwencjach utworów. Tak jest np. w „Dniu Listopadowym" albo w „Straconej nocy"). Powielanie tego samego filozoficznego wzorca jest potwierdzeniem ze strony Iwaszkiewicza postawy, zmierzającej do oddania uniwersalnego charakteru motywów, działań i dążeń ludzkich.

I to jest najważniejsza cecha twórczej osobowości Iwaszkiewicza: odzwierciedlanie faktów jednostkowych w kategoriach ogólnych, nadanie poszczególnym konfliktom charakteru uniwersalnego. Zawiera się w tym kwintesencja zmagań i nadziei pisarzy, zdających sobie sprawę z partykularnego charakteru naszej kultury, parających się z trudnym problemem pokonywania zaściankowości, ograniczeń opóźniających proces podniesienia osiągnięć literatury polskiej do rangi sztuki europejskiej.

Specyficzny kompleks inteligenta, o którym pisał niegdyś Stefan Lichański w studium „Na pograniczu epok", nieobcy jest Iwaszkiewiczowi. Dał temu wyraz autor „Tataraku" w szkicach okresu międzywojennego, gdzie wyraźnie ukazany został niepokój o losy tradycji kultury, z trudem przełamującej dystans, dzielący ją od manifestacji artystycznych miary Montaigne'a, Flauberta, Giotta lub Wagnera.

Niepokój ten jest zresztą właściwy przedstawicielom inteligencji polskiej od Słowackiego i Norwida począwszy, poprzez Żeromskiego, Witkacego, Brzozowskiego, Irzykowskiego do czasów dzisiejszych.

Droga twórcza Iwaszkiewicza jest kolejną próbą obalenia konwencji, oddzielających granice artystycznych dokonań, które cechują kulturę polską, od zdobyczy ideowych i artystycznych wielkiej literatury francuskiej czy rosyjskiej. Jest to jednocześnie wysiłek, zmierzający do ustawienia na wspólnej płaszczyźnie osiągnięć, wyrosłych na gruncie polskiej tradycji literackiej i wartości reprezentowanych przez inne nurty kulturowe, konfrontacja doznań, ocen subiektywnych i faktów obiektywnych. Stąd powtarzająca się u Iwaszkiewicza konieczność ciągłego powrotu do źródeł, utrwalania zdobyczy poprzez interpretację motywów literackich, zasygnalizowanych przez innych twórców, wykształconych w odrębnym klimacie artystycznym. To stanowi także źródło obaw pisarza, wynikających z procesu dewaluacji wartości kultury, powolnego zaniku wiedzy i zainteresowań sztuką, poprzestania na płytkiej akceptacji rzeczywistości bez solidnych podstaw erudycji i emocjonalnych więzi z dziedziną, kultywowaną przez całe pokolenia. O silnych związkach z tradycją świadczy wyznanie pisarza poczynione w „Rozmowach o książkach": *Zrozumiałem, że bez tych źródeł twórczych, stworzonych przez spiętrzone nawarstwienia kulturowe, nie tylko nie mógłbym tworzyć, po prostu nie mógłbym istnieć.*

Postawa taka zobowiązuje nie tylko do wznawiania zakorzenionych w literaturze wzorców, zobowiązuje do konfrontacji ich z rzeczywistością i tradycją pisarzowi najbliższą. Próbuje temu Iwaszkiewicz sprostać poprzez polemiczne ustosunkowanie się do wybranych zagadnień w formie nurtów scharakteryzowanych powyżej. Jest rzeczą oczywistą, że rozłączne traktowanie tendencji, cechujących prozę Iwaszkiewicza, jest zabiegiem sztucznym i ryzykownym. Zarówno bowiem aluzyjność, jak też motyw „realistyczny", a także powielanie podobnego wzorca odczuwania stanowi o koherentnym modelu tej prozy. Jest ona mozaiką powtarzających się i nakładających się na siebie wzajemnie form wyrazu. Istota przemian twórczości Iwaszkiewicza zawiera się nie tyle w procesie przechodzenia od jednego do innego kręgu tematycznego i środków artystycznej ekspresji, ile na wskrzeszaniu ustalonych już metod twórczych, ukazujących w różnym świetle raz przyjęte założenia filozoficzne.

Zgodnie z nimi zmierza pisarz do syntezy osiągnięć kultury i sztuki. Postawa ta bliska jest wielu twórcom XIX i XX wieku. Wspólnota ideowa Iwaszkiewicza z Proustem, Conradem, Hermannem Hesse, wielokrotnie przez krytyków podkreślana, uwypukla postulaty artystyczne pisarza, które są ważką intelektualną propozycją w naszej literaturze odnośnie kontynuacji tradycji i postaw wobec współczesności.

Lecz najbliższa Iwaszkiewiczowi wydaje się tendencja, zaprezentowana w dziele Tomasza Manna. I tak, jak Mann w „Buddenbrookach" pokazał rozkwit, schyłek, upadek wielkiej mieszczańskiej kultury, a w „Doktorze Faustusie" wizję jej katastrofy, tak Iwaszkiewicz w swej twórczości stara się wyrazić kierunek myśli i przemian, znamionujących kryzys kultury, a także racje i szanse jej przetrwania.

W związku z przedstawioną tutaj problematyką niezbędny stał się dla pisarza wybór formy gatunkowej najbardziej sprzyjającej nakazowi manifestowania aktualnego punktu widzenia wobec otaczającej rzeczywistości. Opowiadanie, świadomie przez pisarza kontynuowane, umożliwia prezentację licznych sugestii interpretacyjnych, postawienie znaków zapytania, zaangażowanie czytelnika w przedstawiony świat zdarzeń. W opowiadaniach utrwalił Iwaszkiewicz koncepcję literatury, jako dziedzinę dyskusji światopoglądowej, którą nawiązuje autor z odbiorcą dzieła. Dowodem tego są niedawno wydane opowiadania „O psach, kotach i diabłach". Te ostatnie przypominają historię księdza Surin, Adriana Leverkühna i trochę Iwana Karamazowa...

Towarzystwo Miłośników Lublina

ZACZĘŁO się gdzieś przed trzema laty. Red. Janusz Danielak, oficjalnie kierownik redakcji ekonomiczno-społecznej rozgłośni lubelskiej Polskiego Radia, a prywatnie człowiek do głębi zakochany w Lublinie, zaczął co miesiąc gromadzić przed mikrofonem znajomych, aby wspólnie zastanawiać się nad różnymi, dawnymi i aktualnymi sprawami tego miasta. Grono znajomych powiększało się o ich znajomych, najważniejsze fragmenty tych dyskusji nadawano z taśmy, a wkrótce do inicjatywy przyłączył się „Kurier Lubelski", drukując z tych rozmów — jak to się w gwarze dziennikarskiej mówi — felietono-sprawozdania.

W ten sposób w rozgłośni narodził się klub. Niby miał oficjalną nazwę Klubu Miłośników Lublina, ale prawdę powiedziawszy istniał na pół legalnie, bo nie było statutu, ani składek, ani władz. Ale może właśnie dlatego, że od członków wymagało się tylko zaangażowania w sprawy miasta, bezinteresownego rzucania inicjatyw, spostrzegania tego, co dzieje się dziś, odgrzebywania ze starych dokumentów tego, co działo się kiedyś — klub stawał się coraz bardziej popularny, grono uczestników stale się powiększało.

I co ciekawe — coraz częściej zjawiali się przedstawiciele władz politycznych i administracyjnych. Tyle, że w klubie występowali jako osoby prywatne, dyskutowali, czasem nawet wykłócali się, a w rezultacie ta czy inna inicjatywa, zrodzona na dyskusjach klubu, zaczęła nabierać realnych kształtów w praktyce. Co więcej — kilka razy obrady klubu przeniesiono na przedmieścia, a udział mieszkańców był nadspodziewanie liczny.

No i wreszcie stało się to, co się stać musiało: pękły szwy klubu. Coraz liczniejsze grono ludzi miłujących Lublin, nadmiar inicjatyw, coraz bardziej realne perspektywy konkretnego oddziaływania na różne przejawy życia w mieście, możliwość kształtowania tego życia — wszystko to doprowadziło wreszcie do powstania już oficjalnie zarejestrowanego, z siedzibą, władzami i konkretnym planem działania Towarzystwa Miłośników Lublina.

Pod koniec roku ub. powołano zarząd tymczasowy z prezesem mec. Konradem Bielskim, a 20 lutego br. odbyło się pierwsze oficjalne zebranie. W tym okresie przygotowawczym jak i później wielką pomocą służyli organizującemu się Towarzystwu Wydział Propagandy KM PZPR i Wydział Kultury Prezydium MRN, a sekretarz propagandy Alina Wdowiak jak i kierownik Mieczysław Białas raz jeszcze potwierdzili, że są także prywatnie głęboko zaangażowani w sprawy Lublina.

W skład Zarządu TML weszli: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni, Ryszard Dunin, Henryk Gawarecki, Jan Gurba, Leszek Gzella, Andrzej Hajkowski, Maryla Kowalska, Jerzy Pawłowski, Władysław Rymski, Zbigniew Stepek, Alina Wdowiak i Stefan Wojciechowski. Do Komisji Rewizyjnej wybrano: Janinę Blauth-Opieńską, Jerzego Cywoniuka, Józefa Lisa, Franciszka Malinowskiego i Zbigniewa Stępniaka.

„Kamena", która problemom Lublina i jego mieszkańców poświęca zawsze szczególnie dużo uwagi, życzy Towarzystwu stałego rozwoju organizacyjnego, a przede wszystkim coraz szerszej i skuteczniejszej pracy merytorycznej, zarówno w działalności bezpośredniej, jak również w inspiracji władz, innych towarzystw i organizacji. A pierwsze pożyteczne kroki już zrobiono, bo w czasie nieoficjalnego jeszcze istnienia Towarzystwo wzięło już czynny współudział w wielu imprezach, jak rozpisanie konkursu na wspomnienia „Lublin w moim życiu" oraz konkursu dla dzieci „Lublin w oczach dziecka", cyklu prelekcji „Pierwsze dni wolności", zamierza zorganizować konkurs na piosenkę o mieście, wystawę fotografii Lublina itp.

Zapisy na członków przyjmuje sekretariat, mieszczący się w Miejskim Domu Kultury przy ul. Pstrowskiego (parter). Składka roczna wynosi 20 zł od osoby, dla uczniów 2 zł, dla członków zbiorowych 500 zł rocznie.

(d)

Augustów: turystyka i...?

Dokończenie ze str. 1

nie wyraźny. Nad Necklem, Rozpudą i Białem oraz innymi jeziorami postawiono kilka paropiętrowych pensjonatów wypoczynkowych i setki domków kempingowych. W sumie w całym powiecie jest około 5 400 łóżek w pensjonatach i koloniach kempingowych, należących do instytucji, uspołecznionych, oraz 600 zarejestrowanych oficjalnie kwater prywatnych. W pełni sezonu przebywa tu jednak jednocześnie wielokrotnie więcej turystów, gdyż mieszkają oni zarówno w namiotach, jak i też na kwaterach prywatnych nie zarejestrowanych. Dane na ten temat zbiera się zresztą dość dokładnie, a mianowicie na podstawie spożycia chleba.

* * *

— Można to uznać za naiwne samochwalstwo, ale do przyjazdów do Augustowa nie trzeba nikogo zachęcać. Wystarczy namówić, by przyjechał tu raz, a na pewno każdy stanie się gorącym entuzjastą tej miejscowości — powiedział mi znany działacz ZMS w Białymstoku, mgr Józef Gajewski. Białostockie odczuwa brak ludzi z wyższym wykształceniem. Latem 1968 r. ZMS wspólnie z kilkoma instancjami wojewódzkimi zorganizował w Borku nad Jeziorem Neckim dwutygodniowy obóz dla absolwentów i studentów ostatnich lat z różnych uczelni, którzy pochodzą z białostockiego, lub otrzymali stypendium fundowane przez zakłady pracy z tego województwa. Szło o to, by ci młodzi przekonali się, jak piękna jest ta ziemia, jak wiele tu jeszcze do zrobienia, jakie perspektywy stoją przed nimi — czyli, by nie zechcieli nagle przyjąć pracy w innych województwach. Na obóz przybyło ponad 100 osób. Wypoczywali, spotykali się z przedstawicielami władz, zwiedzali okolicę. Białystok, organizując tę imprezę, pokazał gościom towar, który zawsze znajdzie nabywcę.

Powiat augustowski ma swoją puszczę, kanał, 23 jeziora, 7 rzek. Sam Augustów leży pomiędzy czterema jeziorami, dwoma rzekami i kanałem. Zdawałoby się: raj dla mieszczuchów z całej Polski, spragnionych wody, zieleni, świeżego powietrza. I zdawałoby się, że raj dla tutejszych mieszkańców, mogących licznym przybyszom sprzedawać swe usługi i zbijać na tym kabzę. A jednak augustowscy działacze mówią mi, że mają na głowach sto innych spraw ważniejszych niż turystyka.

* * *

Augustów ze swoimi 18 750 mieszkańcami jest piątym co do wielkości miastem w województwie białostockim. W całym powiecie mieszka około 50 tys. osób. I jeśli w Augustowie turystyki nie uważają za rzecz najważniejszą, to dlatego, że nie z niej głównie żyją. Ponad 700 osób zatrudnia miejscowa fabryka obuwia, 2 tys. osób — augustowskie przedsiębiorstwo budowlane, prowadzące roboty w kilku powiatach. Fermentownia tytoniu w sezonie daje pracę około 800 osobom, głównie kobietom. 300 osób liczy załoga tartaków. Ponadto zatrudnienie dają jeszcze: betoniarnia, handel, gastronomia, szkolnictwo i administracja. Zakłady silikatowe, znajdujące się w budowie, wkrótce będą potrzebowały nowych rąk do pracy. Tych rąk zresztą na razie nie ma — bo to będzie praca dla mężczyzn. Natomiast w mieście i w powiecie brak jest pracy dla kobiet. To znaczy brak jest prawie zawsze — z wyjątkiem miesięcy wakacyjnych, kiedy jest odwrotnie, bo brak kobiet, a praca jest. Ale czy przez dwa miesiące można zarobić na całoroczne utrzymanie? Oto dlatego właśnie działacze miejscowi nie zapalają się za bardzo, gdy mówimy o walorach wypoczynkowych Augustowa. Oto dlatego właśnie chętnie widzieliby u siebie jakieś nowe przedsiębiorstwo, dające stałą pracę kobietom.

Oczywiście, jakiś zakład przemysłu lekkiego z jednej strony rozwiązałby miastu problem zatrudnienia kobiet, z drugiej jednak na pewno stworzyłby problem zapewnienia mieszkań kadrze fachowców. A z mieszkaniami nie jest tu łatwo. Wprawdzie buduje się dużo, w dzielnicy im. 29 Listopada, wzniesionej w ostatnich latach, mieszka prawie połowa obywateli Augustowa, niemniej lista oczekujących na mieszkanie jest bardzo długa, około 100 rodzin kwateruje w lokalach niemieszkalnych. Zresztą budować nie ma bardzo gdzie. Nowe osiedle spółdzielcze powstaje na osi ulicy Świerczewskiego dosłownie w lesie. Wycina się po prostu część drzew. Rzecz jasna jest to teren nie uzbrojony, co podraża koszta. Zresztą cały Augustów jest ubogi w komunalne instalacje podziemne. Sprawa kanalizacji załatwiana jest bezskutecznie od niepamiętnych czasów. Jak dobrze pójdzie, kanalizację i oczyszczalnię ścieków miasto otrzyma w roku 1971, jak gorzej pójdzie — dopiero w 1975. A tymczasem część nieczystości miejskich spływa do okolicznych wód, do jezior Białe i Sajno oraz do kanału Bystrego. Jest to podcinanie gałęzi, na której się siedzi, choć bowiem moi rozmówcy, i ci oficjalni, i ci z którymi prywatnie gawędzę nad filiżanką pół czarnej, na wspomnienie turystyki i turystów machają ręką, jak by mówiąc „to nam nic nie daje", w rzeczywistości jest to dość dojna krowa. Handel tutejszy ma na przykład w lipcu i w sierpniu takie obroty, jak we wszystkie pozostałe miesiące w roku razem wzięte. A ile mleka, jajek, kurcząt, owoców i warzyw sprzedadzą turystom augustowscy rolnicy, tego nikt nie obliczył. Jeśli mowa o rolnictwie, to trzeba powiedzieć, iż jest ono oczkiem w głowie miejscowych władz, przed przemysłem i przed turystyką. Oczkiem nie dlatego, że takie dobre, tylko dlatego, że zacofane, że wymagające unowocześnienia, nie wykorzystujące swoich możliwości. Przeciętna plonów pszenicy wynosi 22—23 kwintale z hektara. Władze sprowadziły pewną ilość odmiany „Eros", wysoko wydajnej. Nie było chętnych na nabycie jej. Lecz kiedy pierwsi odważni znaleźli się i uzyskali po 40, a nawet 50 q z hektara, teraz prawie każdy chłop chce siać „Eros". Ci pierwsi odważni sprzedają obecnie na nasienie kwintal nowej odmiany po 500—600 zł.

* * *

Przewodniczący Prez. PRN, Władysław Wasilewski, opowiada mi o kłopotach miasta i powiatu. O braku żłobka w mieście (jest jeden, dla 50 dzieci — a to za mało), o rzadkiej sieci dróg w powiecie (obecnie budują 40-kilometrową drogę z Przewięzi do Rudawki, położyli już blisko 10 km drogi), o braku pracowników budowlanych, o kłopotach, jakie mieli przy zakładaniu wodociągu miejskiego, uruchomionego przed rokiem. Aktywiści Towarzystwa Kulturalnego Augustowskiego, pani Zofia Sadowska, kierowniczka Referatu Kultury Prez. PRN (żona prezesa Towarzystwa, dr Stanisława Sadowskiego) i pan Stanisław Święcicki, kierownik POPP, opowiadają o problemach życia kulturalnego. W mieście są trzy duże świetlice: w „Starej Poczcie", w Domu Nauczyciela i w Domu Turysty oraz sezonowa w ośrodku ZMS. W powiecie — 24 świetlice. To nie rewelacje, ale i nie najgorzej. Gorzej jest przy bliższym przyjrzeniu się tej działalności. Nie w każdej wsi są ludzie mający dosyć wiedzy, doświadczenia i chęci, by społecznie pokierować należycie pracą takiej placówki. A trudno znaleźć odpowiedniego fachowca do pracy etatowej, skoro wynagrodzenie kierownika świetlicy wynosi zaledwie 5 zł 15 gr za godzinę.

I znów pytanie o rolę turystyki w rozwoju kulturalnym powiatu, i znów słyszę w odpowiedzi, że owszem, jakaś jest, lecz nie za wielka. I każdy z miejscowych odpowiada podobnie. Zastanawiam się, dlaczego tak mówią, skoro jednocześnie wszyscy chwalą się zachwycająca urodą tej ziemi, przekonują mnie, że jest to jeden z najpiękniejszych zakątków w kraju, przekonują żarliwie, gwałtownie — zresztą niepotrzebnie, bo przecież od lat kilkunastu należę do miłośników Augustowa. Może po prostu obawiają się, by rozwoju Augustowa nie zapisano na konto natury, a nie ludzi? Może chcą urabiać opinię o potrzebach rolnictwa, przemysłu i gospodarki komunalnej w powiecie, licząc, że bazę turystyczną czynniki odgórne i zewnętrzne i tak będą rozwijały? A może boją się zwichnięcia proporcji rozwojowych na korzyść turystyki?

Prawie ćwierć miliona turystów i wczasowiczów rocznie to jest coś. I to coś, co nie tylko upodabnia w czasie kanikuły augustowski rynek do zakopiańskich Krupówek, sopockiego mola, deptaku w Krynicy czy innych sławnych kurortów. Popularność Augustowa z pewnością wpłynęła na to, że chętnie osiadają tu specjaliści z wyższymi kwalifikacjami. Już obecnie nie odczuwa się braku lekarzy, farmaceutów czy nauczycieli — jaki występuje jeszcze w sąsiednich powiatach, już coraz mniej jest wolnych etatów dla agronomów, inżynierów budownictwa i inżynierów gospodarki komunalnej. Powstawanie nowych świetlic i klubów, przyrost łóżek hotelowych (w „Starej Poczcie" uruchomiono hotel dla 150 osób, w Domu Nauczyciela dla ok. 100), częste występy zespołów artystycznych z całego kraju — to rezultaty ruchu turystycznego. Nie tak dawno jeszcze w mieście nie było ani jednej kawiarni. Dziś są trzy: w budynku LOK, przy Żegludze i najnowsza, „Ptyś", wyposażona w autentyczne meble ludowe, przybrana siwakami, wycinankami i kolorowymi palmami wielkanocnymi. Białostocki etnograf mgr Zygmunt Ciesielski zaprojektował też ubiory dla kelnerek, wzorowane na strojach ludowych z okolic Augustowa. Latem, gdy brak kobiet do pracy, w „Ptysiu" pracują studentki warszawskiej SGPiS. Obroty są siedmiokrotnie większe niż w innych miesiącach. Oto wpływ turystyki!

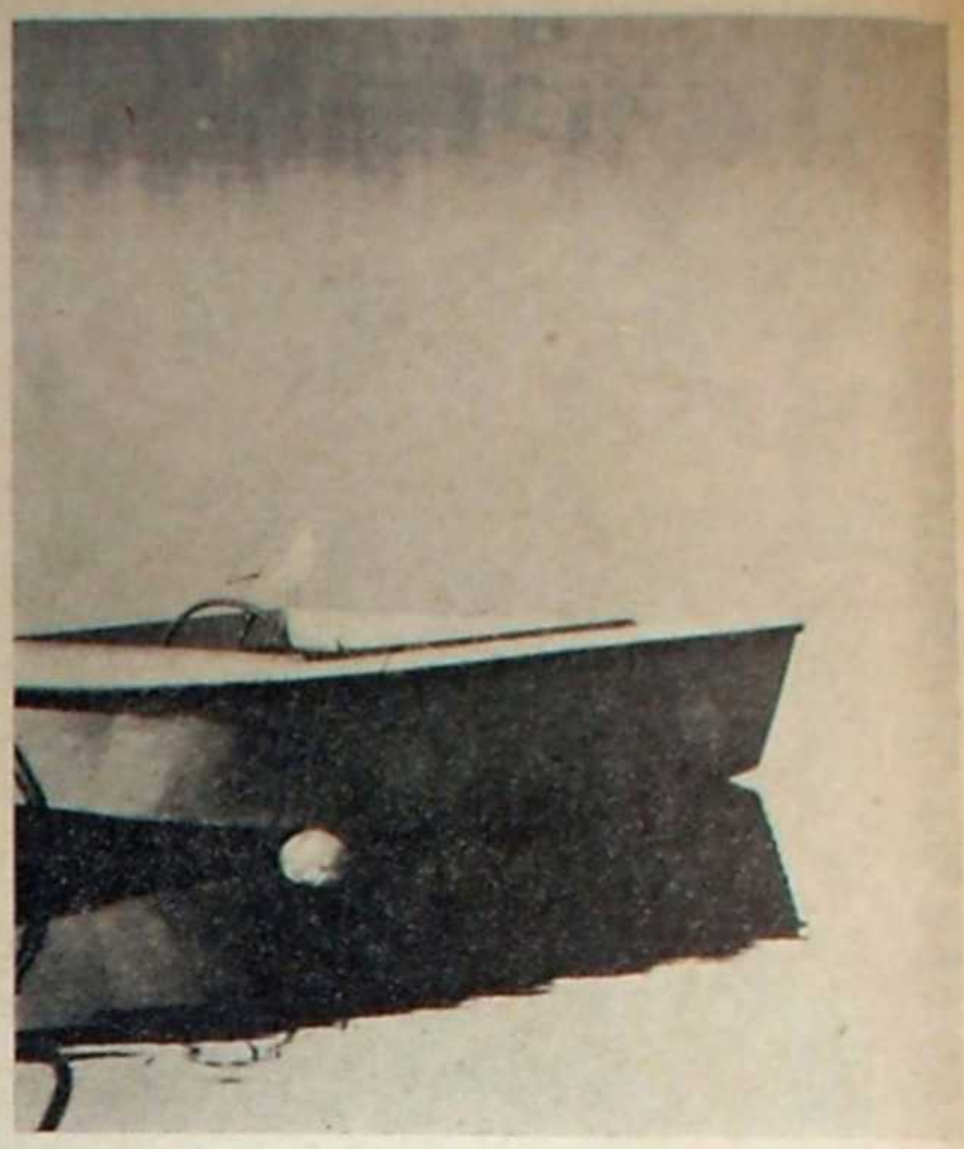

Fot. B. Sieńko

* * *

Władze powiatowe, choć głośno tego nie mówią, traktują tę turystykę poważnie. Tylko widać, że nie za bardzo im zależy na owej sezonowej, obejmującej dwa miesiące w roku, natomiast forsują wyraźnie tych, którzy chcieliby wypoczywać tu dłużej i przez dłuższy czas dawać zatrudnienie miejscowej ludności. Stać je na to, amatorów do stawiania ośrodków wypoczynkowych jest więcej, niż miejsc nad jeziorami. To nie dawne lata, kiedy każdy chętny do zbudowania domku kempingowego witany był z otwartymi rękami. Dziś na kemping nikt lokalizacji nie dostanie, a obecni posiadacze kolonii kempingowych nie uzyskają przedłużenia terminu dzierżawy swych parcel. Ośrodek ZMS, w którym latem zachęcano młodzież akademicką do osiedlenia się po studiach w woj. białostockim, należy do wyjątkowo dobrze wyposażonych. Domki są wygodne, zelektryfikowane, osiedle posiada dużą świetlicę, ma swój wodociąg i kanalizację, a w umywalniach i natryskach bieżącą wodę gorącą i zimną. Lecz niedługo termin dzierżawy kończy się i albo ZMS rozpocznie budowę normalnego pensjonatu murowanego, mogącego przyjmować turystów nawet i zimą, albo też przeniesie się gdzieś nad odległe jezioro, gdzie jeszcze kempingi są nowością. Chętnych na wznoszenie obiektów stałych jest mnóstwo. Tak więc już za kilka lat zamiast szarańczy „psich budek" — jak nazywają je złośliwie miejscowi — w lasach nad augustowskimi jeziorami stać będą pojedyncze pawilony (projektowana jest ponoć nawet 4-piętrowa „szpilka" o jednej klatce schodowej), o architekturze przystosowanej do otoczenia. Augustowscy działacze nie obawiają się, że domy te będą stały puste przez 8 czy 10 miesięcy w roku. Praktyka wykazuje, że w obecnie istniejących obiektach trwałych ruch jest przez cały rok, choć oczywiście największy latem.

Ale przecież przed nami perspektywa 5-dniowego tygodnia pracy i dalszego rozwoju motoryzacji. To na pewno wpłynie na większą frekwencję i w okresach, uważanych dotychczas za martwe. Trzy duże sanatoria dla nerwicowców i rekonwalescentów, które mają być tu w najbliższym czasie budowane, też niewątpliwie będą miały znaczenie dla przedłużenia sezonu. Tak więc Augustów czekają w niedalekiej przyszłości ważne przeobrażenia, których choć na razie nie widać, to już widoczne są w świadomości i zamysłach miejscowego aktywu społecznego. I nie można się temu aktywowi dziwić, że na turystykę patrzy głównie z punktu widzenia interesów niezwczasowiczów, a ludności osiadłej tu stale, czy też, że z uwagi na jej potrzeby, stawia jednak na pierwszym planie rolnictwo i inne problemy gospodarcze. Przy tym nawet rozwój przemysłu nie jest sprzeczny z interesami turystyki, nawet może zgodny, bo wyposaży Augustów w różne niezbędne urządzenia komunalne — a co najwyżej może zmusi turystykę do lokalizowania się nieco dalej od śródmieścia. Same zaś zamysły przedłużenia sezonu powinny być przemyślane i przez ludzi z innych regionów, którzy parają się tą problematyką. Pięciodniowy tydzień pracy i rozwój motoryzacji to przecież zagadnienia ogólnokrajowe.

„Wyjechawszy w Augustowskie, zabrałem z sobą brykę książek, z których dopiero uczyłem się trudnej sztuki stawiania kanałów i prostowania rzek" — pisał w swym pamiętniku Ignacy Prądzyński. Dzieła swego nie ukończył, ale czas przydał pracy generała nowego znaczenia.

Romuald Wiśniewski

Interpelacje poselskie

Dokończenie ze str. 1

Ja nie chciałam tego zrobić, a chcąc się go pozbyć, żeby mi nie przeszkadzał, zrobiłam to zaświadczenie, gdyż mnie zdenerwował, i podpisałam, a tamto wzięłam i zniszczyłam. Nadmieniam, że uczyniłam to przez nieświadomość i nie wiedziałam, do jakich celów to zaświadczenie będzie służyć".

Po paru tygodniach ob. J. S. został uwłaszczony. Zaświadczenie z GRN „zagrało". Od tej pory datują się syzyfowe boje wsi o jej pogwałcone prawo. Nie chodzi o formalne prawo dla prawa, właściwie rozpętał się bój o lokalizację czynów społecznych wsi. I wtedy właśnie, kiedy realne stało się gromadzkie działanie, zostało osadzone na lodzie przez kretyńsko „praworządną" decyzję. Mieszkańcy wsi piszą do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie, wołają, że „grom z jasnego nieba spadł na naszą wieś", jednak lament nie pomaga, otrzymują odpowiedź negatywną. Wobec tego wspinają się na szczebel Ministerstwa Rolnictwa — z podobnym co poprzednio skutkiem. „Brak jest podstaw prawnych do zmiany decyzji..." Wobec tego sięgają najwyżej — do KC PZPR.

Jestem pewny, że pismo jeszcze nie dotarło do rąk adresata. Zaręczyłem to Kacicom słowem honoru.

— Kiedy wysłaliście?

— Kilka dni temu.

— To dojdzie na czas.

— Odpis jest u posła. Zawiezie... towarzysz poseł?

Żegnając gościa, patrzyłem w bok. Ale powiedziałem wprost:

— Bądźcie dobrej myśli. Racja po waszej stronie.

Siedzę teraz przy biurku, gryzę ołówek i medytuję: jak ja wam pomogę, jak ja wam pomogę.

Rok 1959.

Onegdaj usłyszałem na spotkaniu pytanie:

— Czy to prawda, że będzie przekreślenie zaległych podatków?

— Komu umorzono, to umorzono. Jak w dowcipie z Erywania... Ileż milionów złotych już umorzono pod wpływem różnych interpelacji... „Miniony okres" coraz mniej tu ciąży.

— Ale chodzi o umorzenie generalne.

Zabija mnie wiedza o łakomstwie słuchaczy na obrazy i porównania. Nie odpowiedziałem wprost, tylko porzekadłem:

— Od śmierci i od podatku nie da się uciec.

— Co bogatsi to od śmierci długo uciekają. Nie wiadomo jeszcze...

Uśmiechnąłem się. Czyżbym czekał na zwłokę? Przewodniczący PPRN szeptem mi do ucha hiobowe wieści o rosnących od nowa zaległościach podatkowych.

Rok 1961.

— Słusznie ktoś tu zaalarmował, że chłop traci w miesiącu trzy—cztery dni na łażenie po urzędach nadaremnie. Kosztowne mitrężenie czasu, szkoda dla produkcji i dla zdrowia, bo nerwy to nie drut. Jeszcze słusznie to i owo, waszą litanię żalów i skarg wiecznie odśpiewuję, tam gdzie potrzeba, ale nie stawajcie siebie i mnie w takim położeniu, iżby ktoś powiedział: przygania kocioł garnkowi, a obydwa smolą... Gdybym wyszedł na szeroki świat z łopatą i zagarnął to, co się tam dzieje przeciw wam, to by bardzo śmierdziało. Gdybym wziął drugą łopatę i wyszedł z nią w ten sam świat, i zagarnął to wszystko, co wasze wady złego czynią, to by też śmierdziało. I tu też na tej sali zaśmierdziało egoizmem, sobkostwem, złym zrozumieniem chłopskiego prawa do ludowej ojczyzny. Ja bym się namyślał nie nad tym, czy wlepić karę za zniszczenie rowu melioracyjnego, ale czy nie wsypać więcej. Żeby pamięć tego głębiej się wżłobiła w człowieka. Podobnie nie umorzyłbym tej kary za nieprzestrzeganie przepisów przeciwpożarowych. Czy zrobiłbym tak w imię tego, żeby przysporzyć pieniędzy kasie państwowej? Nie, dla waszego dobra.

Rok 1963.

— Jeden z drugim — krzyczą, kiedy kobieta na moment zawiesiła głos — idzie do Gminnej Spółdzielni, bo widzi, że leży kupa węgla, śnieg przysypał, i prosi o kilka metrów. Nie za darmo, za pieniądze. Prezes i urzędnicy rozkładają ręce, sprzedają węgiel, chętnie, ale żeby przynieść zlecenie z Gromadzkiej Rady; no to idzie się... Tam znają sytuację, naszą i swoją, najpierw próbują tłumaczyć, oni mogą wydać pozwolenie od siebie w ramach pięciu procent ogólnej puli węgla przypadającej GRN z racji takich czy siakich przydziałów. Ale w końcu ulegają, na niby, i każą wrócić do GS, potelefonują, żeby sprzedać węgiel. Owszem, dzwonią, ale z przypomnieniem, że te gminne pięć procent już dawno wyczerpały się, zaś zapożyczyć się na następny kwartał nie wolno.

— Mordują — powtórzyła zreumatyzowana kobieta.

Tak przemawia, tak podsumowuje tylko wielka rozpacz, która widzi ratunek, ewentualnie, już tylko w prowokacji. Zamierzałem „rozprawić się" ze sformułowaniem starej kobiety i rzeczywiście zrobiłem tak, krytykując nie kontrolowaną elokwencję, z której by się cieszył rzeczywisty wróg, ale łatwizną byłoby poprzestać na tym i odwrócić się od sprawy, jakby od demagogii. Mogłem jedynie, odpowiadając na dwuznaczne pytanie: „gdzie się ten węgiel podziewa", przedstawić przybliżony rachunek rozchodu i rozliczyć wydobyty węgiel, zresztą według cyfr podanych dwa lata temu przez „Politykę" po wprowadzeniu podwyżki cen węgla o 100 proc. Wtedy ludziom na prowincji zdawało się, że to będzie ofiara, ekonomicznie zresztą umotywowana, za możliwość kupna bez nadmiernych przeszkód.

Sypię cyframi i faktami, rozjaśniam perspektywy, lecz czuję, że podaję tylko statystykę, która nie musi być przyjęta jako wytłumaczenie aktualnych przepisów w sprawie zaopatrzenia i nabywania węgla. Zresztą nawet najbardziej rzetelne cyfry i najbardziej rzetelne słowa zawsze przegrają walkę z mrozem. Na tej sali sułoszowskiej słyszało się tupanie, ale nie przeciw mnie; poza tym i przede wszystkim oponenci przeciw gadaninie o deficycie węgla będą mieć argument zapasów tego towaru

Kamena str. 4

„Waltzing Matilda"

Szkicownik australijski

Tadeusz Sobolewski

MELODIA była bardzo przyjemna, tekst niezbyt zrozumiały, zwłaszcza dla świeżo przybyłego imigranta. Wydawało mi się zatem, iż jest to piosenka o jakiejś pięknej Matyldzie i jej tanecznych skłonnościach — tytuł przecież mówi o „Walcującej Matyldzie". Australijczycy uważali tę śpiewkę za rodzaj swego hymnu narodowego, tak bardzo przecież różnego od dostojnej pieśni „God save the Queen", granej przy byle okazji, również na początku nowego seansu w kinie.

Dopiero kiedy poznałem tekst przyszło mi do głowy, że śpiewka jest owocem jakiegoś nieporozumienia, co najmniej językowego, idzie tu bowiem o „walcowanie" w stylu Wiecha („trzeba się było przewalcować ze Szmulowizny na Ochotę, bo w komunikacji miejskiej awaria nawaliła"). Analogia dość znaczna, bo ta piosenka jest częściowo napisana tamtejszą gwarą i odnosi się do przygód włóczęgi („swagman"), który ukradł jagnię, a ścigany przez właściciela i policjantów skoczył do stawku („billabong") i utopił się.

Imię Matylda w ogóle nie jest w Australii używane i tu występuje jako coś w rodzaju gwarowego symbolu, oznaczającego zawiniątko („swag"), noszone na plecach przez włóczęgę, który wyznaje zasadę, iż omnia mea mecum porto. Tu właśnie kryje się owo nieporozumienie natury semantycznej: nigdy i nigdzie nikt w Australii nie nazywa swego plecaka Matyldą.

Najdziwniejsze zaś jest to, iż ta raczej bezsensowna śpiewka przyjęła się znakomicie i stała się przebojem od czasu, kiedy jej autor, „Bonjo" Patterson, lekko zwariowany poeta, skomponował ją kilkadziesiąt lat temu, natchniony widokiem farmera ścigającego włóczęgę, który ukradł mu jagnię.

Roztkliwiam się nad tą śpiewką nie tylko dlatego, że symbolizuje ona w dużym sensie „australijskość" na co dzień, ale również dlatego, iż uzmysławia pewne zasadnicze aspekty owej „australijskości" w dziedzinie twórczej. Brzmi to trochę paradoksalnie, ale ta dziedzina twórcza jakoś nie nadąża za komfortem technicznym. Więcej — jest jeszcze w powijakach, co stwarza problemy natury psychologicznej: spotykamy często ludzi żyjących na wysokiej stopie w sensie materialnym, podczas kiedy ich poziom umysłowy jest przerażająco niski. Pewien Anglik o wyrafinowanej kulturze stwierdził w swoim studium na temat Australii, że spotykał np. zamożnych adwokatów, z którymi konwersacja na tematy kulturalne nie przeciągała się nigdy powyżej dziesięciu minut. Adwokat jest tu bardzo znamiennym przykładem, na ogół bowiem oczekuje się od wziętego prawnika dość rozległej wiedzy, połączonej z dużym zasobem błyskotliwości konwersacyjnej.

„Walcująca Matylda", przypadkowo skomponowana piosenka na nutę szkockiego marsza, dość dobrze obrazuje właśnie pewną przypadkowość australijskiej kultury, będącej niczym innym jak zbiorem odprysków kultury anglosaskiej. Bardzo ważnym elementem, uzależniającym tę kulturę od wpływów angielskich, jest język. Australijczycy poszli na łatwiznę, po prostu importują sobie to, co im odpowiada, zamiast w pocie czoła tworzyć własne dzieła. To można zaobserwować w czasie odbywających się co kilka lat festiwali teatralnych w Adelaide, uroczej stolicy stanu Australii Południowej: przybywają na te festiwale artyści z innych kontynentów, głównie z Wielkiej Brytanii, wraz z niektórymi gwiazdami wychodzącymi z obiegu, lub akurat nie mającymi w tym czasie innego „engagement".

W istocie rzeczy literatura australijska nie wyszła jeszcze poza etap folkloru w postaci „ballady buszowej", opiewającej przygody pasterza, przeganiającego stada bydła na olbrzymich pustynnych przestrzeniach, postrzygacza owiec lub parobka, którego farmer wyrzucił ze służby, bo farmerka coś za bardzo szczerzyła zęby do bezczelnego młodzika. Spotykamy też melancholijne reminiscencje z okresu niewolnictwa, pierwszej fazy istnienia Australii, kiedy zwożono tam przestępców z przepełnionych więzień angielskich. Są to ballady, w których pomrukuje bunt społeczny, ballady o zbuntowanych kajdaniarzach („wild colonial boys"), o uciekinierach z kaźni, którzy stali się rozbójnikami („bushrangers"), a zwłaszcza o kieszonkowym „bohaterze narodowym" nazwiskiem Ned Kelly, który zamordował kilku policjantów, dokonał paru śmiałych napadów na banki w małych miasteczkach, wreszcie został okrążony i wzięty do niewoli, osądzony i stracony. Po usłyszeniu wyroku śmierci 26-letni „bushranger" powiedział do sędziego:

— Do widzenia — tam!

Stała się rzecz nie do wiary: w niecałe dwa tygodnie po powieszeniu Neda sędzia zachorował i umarł.

Ten typ tematyki przeważa w twórczości balladowej. Z niej też wyrósł najbardziej znany nowelista, gawędziarz i poeta Henry Archibald Lawson (1867—1922), którego opowiadania są wyjątkowo interesujące ze względu na ich lokalny koloryt. Był on synem norweskiego marynarza-włóczęgi i Australijki. Najdziwniejsze jest to, iż Lawson, który pisał wyjątkowo buntownicze poematy („Faces in the Street"), nigdy nie miał ochoty na czynny udział we współczesnych ruchach rewolucyjnych.

Mary Gilmore, która zmarła kilka lat temu, jest uważana za sztandarową poetkę lewicowej Australii. Trzeba jednak dodać, że ani ona ani Lawson nie potrafili pozbyć się cech krańcowego szowinizmu rasowego. Lawson był mocno związany z najbardziej w Australii reakcyjnym tygodnikiem „The Bulletin", który wychodzi do dziś. Jest to jeden z licznych paradoksów australijskich.

Poważną pisarką jest Katharine Susannah Prichard. Jej lewicowe przekonania łączą się w przeciwieństwie do wyżej wymienionych — z gorącym antyrasizmem. Jest ona jak by Sienkiewiczem Australii, jej powieści historyczne ukazują ten kraj z punktu widzenia ewolucji dziejowej. Niektóre jej dzieła były tłumaczone na język polski, podobnie jak kilka powieści znakomitego pisarza o znaczeniu ogólnoświatowym Patricka White'a. Ten ostatni jest człowiekiem o wyrafinowanej kulturze, co jest widoczne w jego stylu pisarskim — tu podziwiam polską tłumaczkę jego dzieł. White jest znany Australijczykom nie tylko dzięki swojej twórczości, ile na skutek surowej oceny, jaką bez ogródek wygłasza na temat australijskiego poziomu kulturalnego. Twierdzi po prostu, że Australijczycy to „ciemna masa" i rzuca gromy na całe społeczeństwo. Kiedy w czasie jednego z festiwali przybył do „mojej" stolicy Adelaide, gdzie grano jego sztukę, dziennikarze spytali go, czy dalej sądzi tak źle o Australijczykach. Pisarz uśmiechnął się kwaśno i powiedział:

— No cóż, widać pewną poprawę. Ale niewielką.

Jest to człowiek o dużym poczuciu humoru. Napisał mi kiedyś w liście, abym się nie przejmował pewnymi niepowodzeniami literackimi — on sam dostaje regularnie co tydzień listy z wymyślaniami od pewnej pani w Melbourne i nienawidzącej jego książki...

Znikomość życia literackiego w Australii może być zobrazowana faktami i licznami związanymi z czytelnictwem prasy literackiej: wychodzą tam cztery periodyki tego typu, na ogół wegetujące, jeśli nie uzyskają finansowego poparcia jakiegoś zamożnego mecenasa sztuki. Tak jak z „Australian Letters", które według moich przypuszczeń, istnieją dzięki uprzejmości p. Geoffrey Duttona, człowieka posiadającego nie tylko dużą kulturę umysłowe, ale i spory majątek. Geoffrey Dutton zresztą sam jest zdolnym poetą. Inne pisma są na ogół powiązane z uniwersytetami — „Meanjin" i „Overland" w Melbourne, „Balcony" w Sydney, lub ze stowarzyszeniami o charakterze religijnym czy społecznym.

Trudno byłoby dać jakąś całościową opinię na temat literatury australijskiej. Istnieje ona jako nieraz przypadkowe odpryski starej kultury angielskiej i nie wykrystalizowała się dotąd jako twórczość par excellence australijska. Mówi się, iż powstała z ballady buszowej, z tragedii pierwszych zesłańców, z przygód i dramatów pierwszych osiedleńców. To prawda. Mimo jednak narzucającej się tematyki ogólnoludzkiej i społecznej nikt dotąd nie potrafił stworzyć jakiejś prawdziwej australijskiej epopei. Wydaje się też, że tematyka związana z folklorem buszu już się przeżywa. Na pewnym zebraniu literackim jeden z uczestników, Brian Davis, literat i anglista, wybuchnął parafrazując przenośnię użytą przez jakiegoś poetę:

— Dość już mam tego „buszu dyszącego spod asfaltu".

Tak cywilizacja urbanistyczna poczyna odrzucać folklor, mimo iż sama nie stworzyła niczego lepszego niż rzewne i melodyjne ballady o „wściekłych kolonialnych chłopakach".

Idzie halniak...

Fot. Janusz Mendychowski

widzianych gołym i trzeźwym okiem. Już się potwierdza.

Rok 1966.

Już mnie nachodzą w domu, w redakcji i po spotkaniach w terenie z prośbą o pośrednictwo w przyjęciu córki, syna na wyższą uczelnię. Obiecują się odwdzięczać... Brr. Wiedzą, że nie wezmę łapówki ani nie dam nikomu, i nie widzą, biedni, z której strony mnie obmacać.

Po prostu trzeba pomagać ludziom biednym, zagubionym w mieście, inni dadzą sobie radę. Żadna łaska. Lecz ludzie traktują pomoc ciągle jako łaskę. Zdaje im się, że ich dzieci spotkają ciosy, na które mogą odpowiedzieć tylko skomleniem. Więc lepiej poskomleć wcześniej.

Falę otworzyła... żona dróżnika kolejowego spod Wolbromia. Za wcześnie jak na „załatwianie" przyjęcia na wyższe uczelnie, ale kobieta kierowała się zapewne filozofią „ogonka", która każe ubiec wcześniej innych u drzwi sklepu, więc wstaje o trzeciej rano...

Córka Aniceta bardzo zdolna. Nie wiadomo, co sobie zrobi, jeśli się nie dostanie na AM. Już dziś chodzi markotna...

Wtargnęła rankiem, co dopiero ogoliłem się, łóżko było rozbebeszone.

— Kobieto — mówię — przecież jeszcze matury córka nie zdała. Złóżcie papiery w sekretariacie uczelni, po maturze będziemy gadać.

Nie przekonałem jej ani tymi, ani mocniejszymi słowami. Koniecznie chciała się wkupić jakimś podarunkiem.

— Co mam, to dam. Z serca. — Wyjmowała z teczki... pół litra śmietany, litr mleka, serek i kilka jajek.

Wściekłem się. — Jeśli pani tego nie zabierze, to w ogóle niech pani nie liczy na jakieś moje wstawiennictwo. — Krzyczałem, klęłem, w końcu wybiegłem z pokoju. Czekałem w hallu jak lód nieczuły na molestowanie kobiety. W końcu wyszła i przeprosiła. W ręku miała teczkę. Odetchnąłem. Zajrzałem do pokoju, podarki ze stołu zostały sprzątnięte. Udobruchałem się i obiecałem pomoc córce dróżnika. Kiedy kobieta wyszła, wróciłem do pokoju i wlazłem z powrotem do łóżka, żeby przez kwadrans jeszcze poczytać. I w tym momencie trrach! To rozkwasiły się jajka, serek i mleko pod poduszką. Przeląkłem się — rozczuliłem chytrością i nieporadnością kobiety.

Łapówki — hańba starych, czynowniczych czasów — przeniosły się w nasze czasy. W ubiegłym roku zgłosił się do mnie starszy kolega z konspiracji. Przyjaciel. Kolejarz. Krzyczał na świństwa dziejące się w AM. Jego córka nijak się nie może dostać. W tym roku zdobył się na łapówkę, uzbierał 14 tys. zł, wręczył pośrednikowi... I nie została przyjęta. Świństwo!

— A zdała egzaminy?

— Nie wiem. Ale przecież zobowiązał się.

Zbeształem przyjaciela od najgorszych, i posłałem do Wydziału Kultury i Nauki KW. Pośrednik, jakiś mało znaczący asystent, zwrócił — dowiedziałem się po czasie — owo „hononarium". Podobno na tym się skończyło.

Pytanie: a gdyby dziewczyna zdała egzaminy, to resztę dopowiedziałoby owe 14 tys. zł? Nikogo nie oskarżam, problem tkwi w czym innym.

Rok 1967.

Z listów nadesłanych z miejscowości, w których nie miałem zapowiedzianych spotkań:

„Bierzcie na plecy — powiedział magazynier — ten nawóz. Po pierwsze, dlaczego ja mam brać? Nie tak w radio mówią. Po drugie, jak brać, skoro worki były rozwalone?"

„A jeśli ja, jako sklepowa, muszę przyjąć zgniły towar, to co mam robić? Konwojenci grożą, że jeśli tego nie przyjmę, to nic już nie przywiozą".

„Była w sklepie zatęchła mąka i kasza. Przyszedł kierownik z Handlu i powiedział, żeby się zaopatrzyć w podwójne ilości, bo „coś" się zapowiada... No i poszedł hyr. Panika! Kogo teraz ukarać? Mnie?"

Już mniej narzekań na brak ilości, na czoło wysunęła się jakość. Poseł Jerzy Bukowski, profesor pełną gębą, powiedział w jednym ze swoich nietuzinkowych przemówień sejmowych, że jakość „to jest niezawodność i trwałość".

Władysław Machejek

(Fragment z książki „Poselskie potyczki").

Maria Bullod

* * *

Nieuleczalni w odrywaniu nóg ociężałych
tylko startu zachłanni
moment odepchnięcia z upodobaniem śledząc
loty trenują ledwie
wielkim palcem zakreślą nowy krąg —
spadania

nieuleczalni w opadaniu
o każde zawieszenie cięższi
aż do rozbicia
aż do miazgi

więc tylko zamach wybieram
z epitafiów godzin kiedyś nabrzmiałych
grzebiąc w hałdach
pod górski łańcuch
nieuchronny

Lublin

Tadeusz Olszewski

Autoportret rąk

1

Królika zabić uderzeniem jednym
kroplę posoki na pyszczek mu strącić
— to taniec dłoni rozpocząć tak gniewnie
by ostre zęby w białe mięso wrosły

2

Do twarzy zbliżać kruchę pisklę wróbla
a będą dłonie tej czułości puchem
co oddech w senność spokojną obraca

3

Kobietę kochać umiem tylko w mroku
gdy dłoni drżenie w szelest drzew zamieniam

4

A są mi dłonie i dla krzyku tarczą
ust zakrywaniem
początkiem milczenia

Zalesie Dolne

Wiesław Malicki

By nie klękać przed pamięcią

by nie klękać przed pamięcią lub nie kłamać zorzom
całuję kamień szary miejskich ołtarzy i odnawiam żertwę
albo w zboża idę przydrożne między przaśne twarze
które mi z dzbankiem mleka przychodzą do oczu

a kiedy mnie z rąk swych nie puszcza tarnina
kiedy skroń się od słońca zapala
wtedy ptaki rozwieszam na skrzydłach
by z chmur wydziobywały deszcze

Opole

Zamojska odyseja (II)

TRAGEDIA W SOCHACH

Jan Kołkowicz

AUTOKAR z trudem przedziera się leśną drożyną przez zwierzynieckie lasy. Olbrzymie wykroty jodeł i buków, porosłe mchem, wryte w czerń ziemi, powalone jedne na drugie, spiętrzone jak warownie, jeszcze dziś zawzięcie bronią wstępu do serca kniei. Za lasem, zagubiona wśród wzgórz, leży obrosła dziś już legendą, cicha wieś zamojska — Sochy. Odznaczona Krzyżem Grunwaldu, wieś – bohater, która ćwierć wieku temu skazana na śmierć, niszczona, palona i bombardowana, odrodziła się znowu.

Na skraju lasu, przed pierwszymi zabudowaniami, wznosi się niewielki cmentarz, otoczony ciernistym łańcuchem. Gromadka białych, kamiennych krzyży. Jednakowo bezimiennych, jednakowo tragicznych. Spoczywają tu prochy około dwustu ofiar hitlerowskiego barbarzyństwa. Okrutny bilans pacyfikacji, męczeński szaniec Zamojszczyzny. Cel naszej dziennikarskiej pielgrzymki.

— Staliśmy wówczas w tym lesie, kiedy padły pierwsze strzały — wspomina „Mucha", były partyzant, autor głośnych pamiętników. — Niestety, przybyliśmy za późno!

Na drodze przystanął z rowerem jakiś człowiek. Obnażył swój tors przeorany dwiema bliznami. Nazywa się Karol Ferenc. Zainteresowała go nasza dziennikarska grupa, obładowana aparatami, fleszami i notesami. Podczas pacyfikacji Soch stracił całą rodzinę.

— Tutaj leży mój ojciec i siostry — odpowiada. — Nawet nie wiem, który ich grób.

— Byli tu już Czesi, Francuzi, szwedzcy dziennikarze — mówi Edward Suchora, były bechowiec, „Iskra" z partyzantki, dziś sekretarz Prezydium zamojskiej MRN. — Wpisali się nawet do księgi pamiątkowej w szkole. Ale cóż! Wieś się odbudowała. Co im pokazywać?

– W Sochach należało urządzić rezerwat — burczy pod nosem krakowski dziennikarz. — Trzeba było zostawić pogorzeliska, nie odbudowywać wsi. Byłby to wstrząsający pomnik — dokument...

— To niemożliwe — odpowiada kilka głosów. — Bo z ludźmi, to jak z lasem. Padają stare drzewa, ale młode rosną. Ziemia nie umiera...

Przybiegło do nas kilku malców w harcerskich mundurkach. Wycierając nosy, przyglądają się nam z ciekawością, po dziecięcemu. Takich jak oni, kilkunastoletnich malców, leży około dwudziestu za tym ciernistym łańcuchem.

— Poprowadzicie do szkoły? — pyta „Iskra".

Idziemy za nimi, a harcerzyki nieustannie się oglądają. Intryguje ich broda pewnego dziennikarza. Śmieją się ukradkiem, milkną przerażeni, gdy brodacz na nich patrzy. Idziemy przez wieś, rozjaśnioną światłem elektrycznym. Ci malcy nie pamiętają tamtej wsi, kiedy przyszła śmierć z czarną swastyką na transporterach.

Sochy, to nie jedyna wieś na mapie martyrologii Zamojszczyzny. Kitów, Osuchy, Wywłoczka... Takich wsi na Zamojszczyźnie były dziesiątki. Ale w tym łańcuchu zbrodni Sochy stanowią wstrząsający wyjątek. Wieś padła ofiarą bez ostrzeżenia. Okupant chciał zetrzeć ją z powierzchni ziemi, wymazać z mapy. Taki los spotkał francuskie Oradour, ten sam los Niemcy zgotowali czeskiej wsi Lidice, w ten sam sposób zniszczono cichą wioskę włoską Mezzinotte.

Leżące na skraju puszczy zwierzynieckiej, z dala od wielkich szlaków komunikacyjnych, Sochy były doskonałą bazą dla partyzantów. Tutaj znajdowali nocleg, chleb i życzliwość ludzi. Wiedzieli o tym Niemcy. Kilka tygodni przed zaplanowanym uderzeniem przysłali tu prowokatorów. Po cywilnemu, podając się za partyzantów, chodzili grupkami od chałupy do chałupy, prosząc o mleko, chleb, miskę zupy. Zagadywali, rozpytywali o oddziały partyzanckie, namawiali do akcji, stawiali podstępne pytania.

— Pamiętam ich jak dziś — wspomina Jan Wsiuk, naoczny świadek tamtej tragedii. Wiozłem wówczas obornik na pole. Obstąpili furę. Wszyscy byli w kolejarskich mundurach. I chociaż mówili po polsku, czuło się, że jedzie od nich wilkiem. Wszyscy byli zarośnięci, upozowani na ludzi z lasu. Ale karki mieli spasione i nosili schludne, odprasowane ubrania. I to ich zdradzało. Prawdziwi partyzanci, panie, to nierzadko w łachmanach chodzili. Namawiali i mnie: panie, nie wieź pan gnoju. Pisz się pan do partyzantki. No i ktoś musiał uwierzyć tym draniom i wygadał się.

Rankiem 1 czerwca 1943 roku pancerne transportery ze swastyką otoczyły Sochy. Wyrok został wydany. Wieś jeszcze spała, otulona porzenną mgłą, gdy ze wzgórza od strony wąskotorówki wytrysnęła w górę czerwona rakieta. Nim zgasła, sypiąc krwawym pióropuszem iskier, z obydwu wzgórz na raz, od wąskotorówki i od strony Zwierzyńca, poszczekały się serie karabinów maszynowych. Niemcy strzelali pociskami zapalającymi. Za chwilę odezwały się granatniki. Pierwszy zapalił się dom Michała Skóry przy lesie. Ogień szybko przerzucił się na następną zagrodę.

We wsi zapanował popłoch. Od granatników i kul zapalały się coraz to nowe budynki. Zaskoczeni we śnie mieszkańcy palili się żywcem, lub poranieni ogniem granatników — konali. Kto wydostał się z płomieni, uciekał w pole, ale wieś była otoczona. Strzelano do każdego.

Po nawale ogniowej grupy pijanych esesmanów, spieszonych lotników i Kałmuków wdarły się do zagród. Ich pastwą padały ocalałe dotąd zabudowania. Podpalali budynki żagwiami, wywalali kolbami okna, rzucali do mieszkań wiązki granatów. Jęki rannych i rzężenie konających zagłuszyły wkrótce walące się stropy i belki.

W pewnej chwili odezwały się syreny. Niemcy wzywali swoich do wycofania się z wioski. Ale natychmiast trójkami nadleciały samoloty. Potężny huk bomb wstrząsnął powietrzem.

Dokonawszy straszliwego dzieła hitlerowcy szybko odjechali. Po ich ustąpieniu do wsi wkroczyli partyzanci. Zastali tlejące się głownie, ludzkie kości, a wśród nich szkielety matek z zaciśniętymi na rękach szkielecikami dzieci, skręcone z sobą w ostatnim skurczu tragicznej miłości.

Jana Wsiuka spotkaliśmy na drodze. Patrzę na jego chłopską, kościstą twarz, pochylony grzbiet i spękane ręce. Wówczas miał lat trzydzieści kilka...

— Wstałem tego dnia bardzo rano, bo miałem iść w pole. Zaprzągnąłem akurat konia, kiedy usłyszałem strzały ze wzgórza. Poczułem nagły ból w nodze. Kula strzaskała mi kostkę. Jednocześnie ujrzałem ogień. Paliła się zagroda sąsiada. Puściłem konia, zakuśtykałem do chaty i zbudziłem domowników. Kazałem im uciekać w pole, sam nie dałem rady.

Granatnik uderzył w dach jego stodoły. Słomiana strzecha zapaliła się błyskawicznie. Wsiuk wyczołgał się poza zabudowania. Żona i dziecko uciekały w pole, ale natknęły się na esesmanów pilnujących zabudowań. Krótka seria... Wsiuk udał zabitego. Widział, jak dopadli po drodze stryjecznego brata, który akurat wybiegł ze swojej zagrody. Prosił, żeby go nie zabijali. Kula przerwała jego protest. Esesmani szli teraz ku Wsiukowi. Słyszał zgrzyt repetowanej broni. Wstrzymał oddech. Usłyszał nad sobą głosy oprawców: — „Ne strelaj, to zabilszy!". Była to grupa Kałmuków.

— Do dziś mam pamiątkę po nich — pokazuje Wsiuk szramę na głowie.

Uznawszy go snać za „zabilszego", wpadli do chaty. Zaczęli plądrować dom. Wtedy właśnie rozległa się syrena. Wsiuk, wciąż udając martwego, usłyszał jak grabiący jego dom Kałmucy nawoływali się: „Udziramy, bo lotcziki!". Odchodząc podpalili dom. Nim jednak zdążyli wycofać się, nadleciały samoloty.

— Jeden to od razu zginął od bomby — kończy swą opowieść Jan Wsiuk. — Drugiemu nogę urwało. Leżeli blisko mnie. Odczołgałem się od nich w żyto. Niemcy się doliczyli. Zabrali ich zaraz po bombardowaniu. Mnie wieczorem opatrzyli partyzanci.

Bronisława Szawara miała wówczas czternaście lat. Głos jej się łamie, zaczyna płakać, kiedy po dwudziestu pięciu latach przyszło jej znowu mówić o tym dniu.

Jeszcze spali, gdy do chaty wbiegł zdyszany ojciec. Rozpaczliwy jego krzyk zagłuszył grzmot granatników i seria karabinów maszynowych. Pociski rwały się gdzieś blisko. Ojciec naglił. Wybiegli z mieszkania, w czym kto spał. Na progu oślepił ich potworny blask ogień trawił już dom sąsiadów.

— To wyglądało jak front — wspomina Bronisława Szawara, dziś po mężu Nizior. — Nie było jeszcze takiej pacyfikacji. Wszędzie najpierw wyganiano ludzi z domów. Tak było w Wywłoczce, Osuchach... Tu inaczej!

Przerażonymi oczyma czternastoletniego dziecka patrzyła Bronisława na śmierć najbliższych. Stryj już ranny leżał na podwórku we krwi. Ojciec i jej brat wpadli do mieszkania, pakując toboły i wynosząc je na podwórko. Bezsensownie i obłędnie. Matka przytuliła do siebie najmłodszą, czteroletnią córeczkę i wybiegła z mieszkania. Do spódnicy uczepiła się druga córka, starsza o dwa lata. Uciekali w żyto za ogrodzenie. Ale od wzgórza już biegli esesmani, już ich zauważyli, krzycząc: — „Nach Hause!"

Obejrzeli się: dom stał w płomieniach. Nie było po co wracać. Ojciec z bratem porzucili toboły. Wtedy właśnie dopadli ich esesmani. Bronisława wczołgała się w żyto. Słyszała krzyk ojca i brata — zastrzelili obydwa. Rzucili na kolana matkę. Hitlerowiec wyrwał jej dziecko z rąk, podrzucił je w górę i strzelił z automatu. Potem zastrzelili matkę. Bronisława zemdlała. Kiedy się ocknęła, wszystko było. Usłyszała płacz. Jej sześcioletnia siostra tuliła się do zwłok matki i prosiła: „Mamo, nie zamykaj oczu, bo ja cię kocham!"

Wówczas nadleciały samoloty. Bronisława została raniona odłamkiem bomby. Zemdlała powtórnie. Kiedy zbudziła się, ujrzała sześcioletnią siostrzyczkę na zwłokach matki z głową zmiażdżoną odłamkiem bomby. Wszyscy z rodziny zginęli. Bronisława została sama. Tego dnia jeszcze opatrzyli ją partyzanci. Odwieziono ją do szpitala w Zamościu.

— Zaraz po zagojeniu ran wróciłam na ojcowiznę — mówi przez łzy Bronisława Nizior. — Na to pogorzelisko. Zabili nam dom, zrujnowali życie. Tyle przecierpieliśmy. Powiedzcie światu!...

* * *

Wieś znowu żyje. Schludna i zadbana. Idąc drogą między budynkami próżno będziesz szukał śladów tamtej tragedii. Czas zabliźnił ziemię, na miejscu pogorzelisk stoją murowane domy o ładnych ganeczkach. Gdzieniegdzie tylko odsłoni się jeszcze szmat wolnej ziemi. Wówczas ukaże się twoim oczom kurhan — nie kurhan, dawne pogorzelisko obrosłe darnią i pokrzywami, nad którym kołyszą się dzikie głogi i pochyla gałęzie skarłowaciała grusza, zagasły ślad życia.

W środku wsi wznosi się murowany budynek szkoły Tysiąclecia. Patrzę na tablicę w murze. Zdobią ją dwa olbrzymie miecze grunwaldzkie symbol zwycięstwa. Niżej wielkimi literami wyryto słowa: „W hołdzie bojownikom poległym za wolność i demokrację — społeczeństwo".

Słowa urastające do symbolu. Symbolu śmierci i życia.

Trudne lata III Rzeczypospolitej

Z kronik UB i MO

O GODZINIE 2 rano sierżant Józef Stępień, komendant posterunku Milicji Obywatelskiej w Ludwinie (pow. lubartowski), zarządził alarm. Kilkanaście minut później jedenaście sylwetek posuwało się w szyku bojowym wzdłuż rozmokłej polnej drogi. Po przeszło dwu godzinach na tle szarzejącego już nieba zaczęła wyrastać linia lasu. Komendant zatrzymał swój oddział i dopiero teraz poinformował milicjantów o celu wyprawy: pod lasem znajduje się gospodarstwo Kazimierza Tudreja, posługującego się pseudonimem „Szary", jednego z przywódców bandy „Uskoka". Banda, działająca w powiatach lubartowskim, lubelskim i chełmskim, liczy około 70 ludzi, ale w razie potrzeby może zmobilizować więcej. Każdy z nich posiada automat i przynajmniej jeden pistolet, nie licząc granatów, są również grupy z ręcznymi karabinami maszynowymi. Komendant posterunku nie zamierzał oczywiście atakować całej bandy, nie miał do tego odpowiednich sił. Spodziewał się, że „Szary" nocuje dzisiaj u siebie z niewielką grupą, ale tak czy inaczej należy się liczyć z ostrą walką.

Nisko schyleni nad ziemią milicjanci okrążali zabudowania. Wewnątrz było zupełnie cicho. Zapukali wreszcie do drzwi. Otworzył je z ociąganiem się jakiś mężczyzna, jak się potem okazało szwagier „Szarego". Niewątpliwie wiedział wszystko o swoim krewniaku, ale udawał, że nie ma pojęcia o jego prawdziwej działalności.

Milicjanci aż do popołudnia przeprowadzali drobiazgową rewizję. Broni jednak nie wykryto, natomiast w sianie koło obory znaleziono kilkanaście płaszczy wojskowych, 20 kg twardej skóry oraz pasy wojskowe. Uznano, że pochodzi to z rabunku i furmankami przewieziono na posterunek w Ludwinie.

Następnej nocy na posterunku było czterech milicjantów i komendant. Nad ranem do zakratowanych okien zapukało kilku żołnierzy polskich. Chociaż z pewnym wahaniem — drzwi otworzono. Przybyli okazali się członkami bandy „Uskoka", przebranymi w mundury. Wszystkich było aż sześćdziesięciu, a dowodził nimi właśnie „Szary". Spalili akta milicyjne, zabrali broń i amunicję, milicjantów powlekli ze sobą. Po drodze schwytali jeszcze jednego, który właśnie szedł na służbę. Pod lasem wszystkich rozebrano, a następnie bestialsko zamordowano. W ten sposób oddali swoje życie: komendant posterunku Józef Stępień, jego zastępca Włodzimierz Maksymiuk oraz funkcjonariusze Henryk Białkowski, Jan Bielecki, Włodzimierz Piasecki i Marian Zdunek.

Wszystko to działo się w dniach 29 i 30 października 1944 r. Dla ścisłości historycznej można dodać, że posterunek MO w Ludwinie był już atakowany przez bandę „Uskoka" 28 września — ale bez skutku.

Tak w wielkim skrócie wygląda jedna z wielu tragicznych kart naszej najnowszej historii. Ale może ktoś powiedzieć: jeszcze trwała wojna, jak zwykle w takich okresach działają dezerterzy, aktywizują się pospolici zbrodniarze... Niestety, podobnych kart przybyło nam jeszcze wiele, zbyt wiele. Może więc krótko o wypadkach, które rozegrały się przeszło rok po zakończeniu wojny. Świat jeszcze wciąż cieszył się z zakończenia wojny, całe narody zajęte były odbudową. Tylko południowo-wschodnie tereny Polski wciąż jszcze krwawiły, szczególnie mieszkańcy Hrubieszowa i okolic żyli pod ujawniającym się co pewien czas terrorem działających tu wyjątkowo zaciekle band WiN i UPA (WiN — „Wolność i Niepodległość", organizacja podziemna związana z b. rządem emigracyjnym w Londynie, utworzona w 1945 r. po rozbiciu organizacji „Nie", zlikwidowana przez władze bezpieczeństwa w 1947 r. UPA — „Ukraińska Armia Powstańcza", faszystowska, nacjonalistyczna organizacja ukraińska, utworzona w 1942 r., zlikwidowana w 1947 r. przez wspólną akcję wojsk radzieckich, polskich i czechosłowackich).

W nocy z 27 na 28 maja 1946 r. niemal w samym środku Hrubieszowa rozległ się wystrzał armatni. Pocisk uszkodził jedną ze ścian budynku, w którym znajdował się Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Natychmiast wybuchła gęsta strzelanina. Pod osłoną innych budynków napastnikom udało się podejść i podłożyć minę. Wybuch zniszczył dalszą część budynku, a dwóch pracowników PUBP zginęło pod gruzami.

Jak się wkrótce okazało, był to fragment akcji, zakrojonej na znacznie większą skalę. Wystrzał z działa był sygnałem do rozpoczęcia ataków na inne budynki. Bandytom udało się w podobny sposób zniszczyć dom, w którym znajdował się KP PPR. Jednocześnie podpalili sześć budynków, w których mieszkali pracownicy PUBP. Rodzinom tych pracowników mimo strzelaniny udało się zbiec.

Druga grupa bandytów, szczególnie dobrze wyposażona w broń, zaatakowała stacjonującą w mieście jednostkę Armii Czerwonej oraz gmach poczty. Tu napastnicy początkowo też odnieśli pewien sukces, ale wkrótce kontratak jednostki radzieckiej zmusił wszystkich bandytów do ucieczki. W czasie gwałtownego starcia poległo 10 żołnierzy radzieckich, z bandytów 15 zginęło, a jeden został ciężko ranny.

Później stwiedzono, że 500-osobowa grupa napastników składała się z dwóch połączonych band: UPA dowodzonej przez „Pryrwę" (atakowała jednostkę radziecką i pocztę) oraz WiN, której przewodził „Wiktor". Instrukcja, porzucona przez tę ostatnią bandę, głosiła m. in.:

Głównym zadaniem organizacji jest niszczenie obiektów wojskowych, magazynów broni, łączności, elektrowni, wodciągów, magazynów żywnościowych, zatruwanie znajdujących się w nich produktów. Prowadząc walkę z PPR-owcami i ich zwolennikami, terroru dokonywać przez wieszanie i rozstrzeliwanie, minowanie ścieżek, którymi chodzą komuniści, zatruwanie wody i pożywienia w stołówkach...

Taka jest prawda o owych pierwszych tygodniach i latach naszej wolności, radosnych dla olbrzymiej większości społeczeństwa, a jakże ciężkich, przeplatanych walką i nierzadko śmiercią tych, którzy stawali na straży porządku i bezpieczeństwa, którzy chronili społeczeństwo. Chronili w różnej formie: walcząc z bandami, ochraniając przedstawicieli władzy, asystując przy przeprowadzaniu reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu, ścigając dezerterów i uchylających się od służby wojskowej, wykrywając bimbrownie, tropiąc morderców, szukając złodziei...

Najbardziej pilnym zadaniem było wtedy zwalczanie band. Społeczeństwo jako całość przyjęło z entuzjazmem Manifest Lipcowy. Ale tenże Manifest zapowiadał, że fabrykanci stracą swoje fabryki, ziemianie majątki, że władza z rąk nielicznej grupy ludzi przejdzie na cały naród. Było to widoczne jeszcze w czasie wojny. Stąd też reakcyjni przywódcy od dawna tworzyli w podziemiu aparat administracyjny i siły zbrojne, które miały nie dopuścić do ukształtowania się państwa ludowego, a gdy to okazało się niemożliwe — do jego zdławienia terrorem i mordami. A gdy i to byłoby niemożliwe — co najmniej do zahamowania jego rozwoju do chwili, gdy na świecie wydarzy się coś, co znowu umożliwi im uchwycenie władzy. Jak później przyznali niektórzy z tych przywódców, gotowi byli łączyć się z diabłem, byle tylko nie dopuścić do zwycięstwa socjalizmu. Diabeł, oczywiście, się nie zjawił, ale podziemna reakcja korzystała nieraz z cichej, lecz widocznej tolerancji okupanta, a pod koniec wojny nierzadko z jego poparcia.

Nic przeto dziwnego, że rodząca się dopiero władza ludowa musiała organizować siły do walki z tą reakcją. Już na podstawie Manifestu Lipcowego utworzony został w PKWN Resort Bezpieczeństwa Publicznego, przemianowany później na Ministerstwo. PPR kierowała tam przede wszystkim robotników i chłopów — członków b. KPP, dawnych partyzantów z GL i AL. Oni stanowili trzon kadry Resortu — ludzie oddani sprawie socjalizmu, zdecydowani na bezkompromisową walkę z wrogiem, jak wielokrotnie potwierdziła rzeczywistość — gotowi oddać życie w obronie swoich ideałów. Początkowo nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia, często brakowało nawet podstawowego wyposażenia.

Drugą siłę do walki z reakcją tworzyła Milicja Obywatelska. Jej pierwszy oddziały powstały samorzutnie jeszcze w czasie lipcowej ofensywy, ale dekret PKWN o powołaniu MO ukazał się 15 sierpnia 1945 r. Komendantem głównym MO (z siedzibą w Lublinie) został gen. dyw. Franciszek Jóźwiak-Witold, b. szef sztabu Gwardii i Armii Ludowej, a komendantem wojewódzkim ppłk Grzegorz Korczyński, b. członek Sztabu Głównego AL. Jednostki milicyjne tworzyli głównie także b. partyzanci z AL. Na komendantów powiatowych wyznaczono 3 kapitanów, 9 poruczników i 4 podporuczników — b. dowódców oddziałów partyzanckich AL.

Nie wszędzie przebiegało to gładko. Gdy do Skierbieszowa przyjechała z Zamościa grupa milicjantów celem założenia posterunku — okazało się, że posterunek taki już istnieje, a utworzyła go grupa AK. Samozwańczy „milicjanci" opuścili posterunek bez sprzeciwu — co więcej, część z nich zgłosiła chęć współpracy, ale w nocy niektórzy z nich

Pierwsza w Polsce

Konspiracyjna WRN

ZALEDWIE 47 dni po konstytucyjnym zebraniu Krajowej Rady Narodowej w Warszawie, w małej wiosce Rudka Kijańska pod Lubartowem, 18 lutego 1944 roku późnym wieczorem w jednej z niepozornych zagród chłopskich zebrało się 9 osób. Wieś już w ciągu dnia, a zagroda do zmierzchu była ubezpieczana przez żołnierzy Armii Ludowej pod dowództwem Mieczysława Moczara, dowódcy Obwodu Lubelskiego AL. W zebraniu wzięli udział: Kazimierz Sidor — „Kazik", Anna Gadzalanka — „Halina", Bolesław Kwiatek — „Lech", Bolesław Pawłowski — „Bolek", Ludwik Czugała — „Równy", Zygmunt Gołaski — „Leon", Marian Czerwiński — „Marian", Paweł Bonat — „Szymon" i Bronisława Czarnotówna — „Sława".

Było to inauguracyjne zebranie konspiracyjnej lubelskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Zebrani w imieniu reprezentowanych przez siebie organizacji politycznych i społecznych zgodnie stwierdzili, że głównym celem ich działania będzie zjednoczenie wszystkich sił społeczeństwa do walki z hitlerowskim okupantem.

Po złożeniu przysięgi przewodniczącym WRN wybrano K. Sidora, jego zastępcą Z. Gołaskiego, sekretarzem B. Czarnotównę i członkiem Prezydium L. Czugałę. W konkretnym planie pracy na najbliższą przyszłość postanowiono tworzyć rady narodowe niższego szczebla, a także włączyć do walki z okupantem inne organizacje, których przedstawiciele będą wchodzić także w skład WRN. Wreszcie uchwalono „Deklarację do społeczeństwa Lubelszczyzny", z zawiadomieniem o powstaniu najwyższej władzy wojewódzkiej oraz jej celach i zadaniach.

Drugie posiedzenie WRN odbyło się w tej samej wsi 7 marca 1944 roku. Rudkę Kijańską wybrano dlatego, że leżała ona na uboczu, z dala od ważniejszych dróg komunikacyjnych, co zapewniało większą konspirację. Warto dodać, że ani w pierwszym, ani w drugim przypadku gospodarze zagród nie wiedzieli, jakie zebranie odbywa się w ich domach.

Drugie zebranie rozpoczęło się ślubowaniem, złożonym przez „Marka", przedstawiciela Armii Krajowej ze szczebla wojewódzkiego, który m. in. podkreślił, że do walki należy skupić wszystkie siły wokół Rady Narodowej. Przewodniczący K. Sidor omówił sytuację wewnętrzną w kraju, zwracając uwagę na wrogą działalność elementów reakcyjnych, które współpracując z okupantem mordują działaczy demokratycznych. W związku z tym podjęto uchwałę o ustanowieniu sądów ludowych. Stwierdzała ona m. in.: „Za wszelką cenę nie dopuścić do walk bratobójczych. Nie wolno zabijać ludzi za przekonania ideowe, a tylko za robotę szpiegowską i stwierdzoną denuncjację. Każdy wyrok śmierci umotywować". Przewodniczącym sądu ludowego został Z. Gołaski.

W tym czasie w województwie istniało już pięć powiatowym rad narodowych i kilkanaście gminnych. Przewodniczący PRN we Włodawie, Kazimierz Markiewicz — „Kwiatek" złożył sprawozdanie o sytuacji w powiecie. W dalszym ciągu zebrania omawiano sprawy finansowe, pokaźną część wpływów przekazano na pomoc sanitarną oddziałom partyzanckim jak i ludności cywilnej oraz zasilanie w sprzęt bojowy partyzantów. K. Sidora wybrano delegatem, który miał w Moskwie wyjednać zrzuty broni radzieckiej dla partyzantów (delegacja wyleciała samolotem w tym samym miesiącu w składzie E. Osóbka, M. Spychalski, K. Sidor i J. Haneman, uzyskując m. in. uznanie KRN za polityczne przedstawicielstwo Polski przez rząd ZSRR).

13 kwietnia w Ostrowie Lubelskim, który wraz z całą okolicą był pod pełną władzą partyzantów, odbyło się trzecie zebranie konspiracyjnej WRN. Wzięli w nim udział przedstawiciele radzieckich oddziałów partyzanckich jak również instruktor KRN. W związku z nasilającym się terrorem reakcyjnego podziemia polecono Armii Ludowej całkowite zlikwidowanie bojówek NSZ jako zdrajców narodu polskiego, którzy pomagają okupantowi. Tak samo polecono grupom bojowym AL zwiększenie sabotażu w walce z hitlerowcami, uniemożliwianie łapanek i ewakuacji ludności oraz nasilenie działalności propagandowej. Do dowódcy radzieckich oddziałów partyzanckich zwrócono się z prośbą o możliwie największą pomoc w broni dla AL. Wreszcie utworzono referat prasowy, który miał czuwać nad przygotowaniem, wydawaniem i kolportażem wydawnictw („Rada Narodowa" i „Głos Ludu") oraz odezw i ulotek..

W tych dniach też zaczęła powstawać Powiatowa Rada Narodowa powiatu lubelskiego — z ramienia WRN organizował ją Paweł Dąbek, który 16 marca uciekł z obozu na Majdanku.

Ostatnie konspiracyjne posiedzenie z początkiem lipca trwało dwa dni, uczestniczył w nim m. in. zrzucony z samolotu przedstawiciel Armii Polskiej. Omawiano program powitania zbliżających się oddziałów Wojska Polskiego i Armii Czerwonej, sytuację polityczną w powiatach, sprawy organizacyjne. Delegatami do KRN wybrano Mariana Czerwińskiego, Pawła Dąbka i Kazimierza Sidora. Powiatowe rady narodowe istniały już w powiatach włodawskim, radzyńskim, lubelskim, zamojskim, lubartowskim, janowskim, puławskim biłgorajskim i krasnostawskim, a także kilkadziesiąt rad gminnych i wiejskich. Skład WRN został poszerzony o przedstawicieli dalszych organizacji demokratycznych, zjednoczonych na gruncie jednolitego Frontu Narodowego do walki z okupantem. W tej walce polegli już na polu chwały członkowie WRN: Bolesław Kwiatek, Paweł Bonat, Zygmunt Gołaski, Aleksander Szymański i Jan Sławiński.

Ostatnimi aktami konspiracyjnej WRN były odezwy do żołnierzy polskich, Armii Czerwonej oraz „Wezwanie do społeczeństwa Ziemi Lubelskiej", wydane 21 i 22 lipca 1944 roku. Skończyły się lata okupacji, rozpoczęła się praca w wyzwolonej już Ojczyźnie.

(dost)

Fot. Andrzej Polakowski

Tekst ślubowania członków WRN

Ja, członek Lubelskiej Wojewódzkiej Konspiracyjnej Rady Narodowej, syn Narodu Polskiego, cierpiącego barbarzyńską niewolę niemiecką, ślubuję uroczyście poświęcić całkowicie swoje zdolności w rzetelnej pracy, według mego własnego rozumowania i zgodnie z sumieniem, nad kierowaniem losami Narodu w walce o Wolną, Niepodległą, Demokratyczną Polskę. Wobec niebezpieczeństwa, grożącego ze strony okupanta hitlerowskiego i wysługujących się mu zdrajców polskich, obowiązki swe pełnić będę z zachowaniem bezwzględnej konspiracji, w poczuciu odpowiedzialości przed Narodem Polskim.

Z wezwania do społeczeństwa Ziemi Lubelskiej

Dokonują się epokowe zmiany w dziejach ludzkości. Pod naporem bohaterskiej Armii Czerwonej walą się pokotem nie pokonane dotąd faszystowskie armie. Nieustraszone hufce sowieckie niosą wyzwolenie wszystkim narodom, jęczącym pod obuchem faszystowskim.

Z odezwy do Armii Czerwonej

Sławni bojownicy Czerwonej Armii! Ziemia Lubelska wita Was jako najlepszych przyjaciół i sojuszników w walce z hitleryzmem! Jesteście pierwszym Narodem, który odważył się mężnie przystąpić do ostatecznego szturmu na stary porządek świata, pogrążający ludzkość w barbarzyństwie.

---

zbiegli do najbliższej bandy. W Łęcznej samozwańczych „milicjantów" trzeba było usuwać siłą, a nowy komendant Aleksander Dmitruk otrzymał rozkaz, aby w ciągu dwóch godzin ze znanych sobie ludzi utworzył nowy posterunek w sile 20 ludzi. W określonym czasie było 21.

Dzisiaj rozkaz w stylu „twórzcie jednostki w całym województwie" wygląda dosyć prozalcznie. Nikt by się nawet nie zastanawiał nad tym, że mogą być kłopoty z bronią, samochodami, radiostacjami. Ale wtedy zdobycie chociażby jednej względnie przyzwoitej pary butów było problemem, który nie zawsze dał się szybko rozwiązać. W raportach z tych pierwszych tygodni można spotkać uwagi, że ten czy ów pracownik UB lub funkcjonariusz MO chodził boso...

Z dokumentów, przechowanych w archiwum MO, wynika, że 20 listopada 1944 r. w woj. lubelskim było około 4 500 milicjantów, w tym zaledwie około 100 oficerów, nie zawsze dostatecznie uzbrojonych i wyposażonych w środki lokomocji.

Trzeba dodać, że często była to broń wybrakowana przez wojsko, nieraz produkcji austriackiej czy nawet włoskiej, do której nie można już było zdobyć amunicji. Gdyby jeden z ówczesnych samochodów lub motocykli pojawił się dziś na drogach — ta sama MO nałożyłaby na kierowcę najwyższy mandat, a tzw. pojazd odesłała do składnicy złomu. Pojazdy te pochodziły najczęściej z demobilu, były wyeksploatowane i niejednokrotnie uszkodzone.

Oczywiście różnie to wyglądało w różnych powiatach. W pow. hrubieszowskim na 256 milicjantów przypadało 61 sztuk broni i 27 kompletów umundurowania, w pow. tomaszowskim na 200 milicjantów — 90 sztuk broni i 27 kompletów umundurowania.

Ale na te czy inne braki nikt się wtedy nie oglądał. Każdego dnia, każdej nocy toczyła się zacięta walka z wrogiem Polski Ludowej .

Jak wynika z dokumentów b. Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, w 1945 roku bandy dokonały w woj. lubelskim blisko 1 500 napadów, w czasie których zamordowały 1 582 osoby (w tym 474 członków PPR) i raniły 301 osób, a ponadto uprowadziły 123 osoby, w tym 61 peperowców. Na podstawie zdobytych później dokumentów i otrzymanych zeznań ustalono, że w tym roku działało w województwie około 70 band, o różnym składzie osobowym. Urzędy bezpieczeństwa i MO przeprowadziły w tym samym czasie ponad 680 operacji, w wyniku czego 18 band zostało całkowicie zlikwidowanych, a liczebność pozostałych znacznie zredukowana.

Bandy były doskonale wyposażone w broń, głównie porzuconą przez wycofujące się oddziały hitlerowskie. Zdobyto 9 dział, 46 ckm, 228 rkm, 526 automatów, 2 715 karabinów ręcznych, 528 pistoletów i 871 granatów.

Pozytywne wyniki dała też amnestia, ogłoszona w 1945 r. w pierwszą rocznicę powstania PKWN. Ujawniło się wtedy 21 band, a ich członkowie uzyskali możność włączenia się do normalnej pracy.

Tuż przed amnestią doszło do wyjątkowo potwornej zbrodni. W pierwszych dniach czerwca 1945 r. na wieś Wierzchowiny napadła 600-osobowa banda NSZ („Narodowe Siły Zbrojne" — skrajnie prawicowa organizacja faszystowska powstała w 1942 r., pod koniec wojny już jawnie współpracowała z Niemcami). Gdy pierwsza i niezbyt jeszcze dokładna wiadomość dotarła do trzech pracowników Służby Bezpieczeństwa — chor. Ryszarda Kozińskiego, chor. Bogdana Krupskiego i szer. Edwarda Bołotana — pospieszyli oni do Wierzchowin i bohatersko próbowali nacierać na bandytów, zapewne nie zdając sobie sprawy z siły bandy. Na miejscu krwawej rzezi bandyci zostawili 197 potwornie zmasakrowanych zwłok, w tym 65 dzieci w wieku od 2 tygodni. Po kilku dniach zmobilizowane siły SB, MO i wojska zlikwidowały całą kilkusetosobową bandę.

Był to największy, najbardziej potworny, ale nie jedyny przykład bestialstwa bandytów. Oto inny.

Z nasłuchu radiowego wynikało, że w kolonii Trębaczów pow. lubartowski działa tajna radiostacja. 15 stycznia 1945 r. trzej milicjanci z posterunku w Łęcznej udali się do Trębaczowa celem zlokalizowania tej radiostacji. Zabrali ze sobą psa.

Koło pewnych zabudowań pies zaczął zdradzać niepokój. Dwóch milicjantów weszło do domu, trzeci z psem tworzył ubezpieczenie. W izbie nie było nikogo, ale na patelniach smażyła się duża ilość mięsa. A więc była tu gdzieś grupa ludzi. Milicjanci Stanisław Smyk i Edward Woliński podeszli do następnych drzwi. W tej chwili otworzyły się one gwałtownie. Wypadło kilku mężczyzn z bronią gotową do strzału krzycząc: ręce do góry! Niektórzy z nich byli ubrani w mundury żandarmerii Wojska Polskiego, na naramiennikach posiadali odznaki stopni oficerskich i podoficerskich. Chwila wahania na widok tych mundurów wystarczyła, aby milicjantów obezwładniono. Okazało się, że byli to członkowie bandy pod dowództwem „Błyska". Stojący na ubezpieczeniu milicjant Piotr Szeremeta, słysząc szamotanie wszedł do sieni — w tej chwili serja strzałów ze strychu ciężko raniła go w nogi. Pies usiłował skoczyć na strych, ale było zbyt wysoko. Gdy inni bandyci zaczęli do niego strzelać, uciekł w pole głośno szczekając.

Jak się okazało dwudziestoosobowa banda była rozlokowana w kilku zabudowaniach i już z daleka widziała zbliżających się milicjantów. Teraz obawiając się, że pies przyprowadzi pomoc — zresztą tak się stało — bandyci opuścili kwatery. Na jednych saniach leżał ciężko ranny Szeremeta. Smyk i Woliński musieli iść obok. Ranny był zawadą dla uciekających. Po kilku godzinach więc cały oddział zjechał na brzeg Wieprza, a bandyci wyrąbali przerębel. Było jasne, co dalej nastąpi.

Szeremetę rozebrano i zapytano o ostatnie życzenie. Powiedział: „Możecie mnie zabić, ale niech rodzice dowiedzą się, gdzie jest moje ciało i niech będę pogrzebany, jak nakazuje ludzki obyczaj". Na to jeden z bandytów przystawił mu do głowy pistolet — ale cała amunicja w magazynku okazała się niewypałami. Podskoczył więc drugi i strzelił kilkakrotnie. Ciężko ranny Szeremeta jeszcze żył, ale mimo to wepchnięto go pod lód.

Dwóch pozostałych milicjantów banda prowadzała ze sobą jeszcze przez kilka dni, usiłując sprawdzić podane przez nich informacje. Oczywiście wszystkie te informacje, nawet dotyczące spraw osobistych, były nieprawdziwe i milicjanci zdawali sobie sprawę, że gdy bandyci chociaż w części to stwierdzą, czeka ich podobny los jak Szeremetę. Ponieważ pilnowano ich troskliwie, dopiero po tygodniu udało im się zamienić ze sobą kilka słów. Decyzja była błyskawiczna: uciekamy bez względu na ryzyko. I rzeczywiście mimo strzałów oraz pościgu udało im się zbiec z kwatery bandy we wsi Bogdanka, w pow. chełmskim.

A pomoc, sprowadzona przez psa, przybyła do Trębaczowa jeszcze pierwszej nocy, bandytów jednak już nie było. Ale po powrocie Smyka i Wolińskiego, którzy poznali zwyczaje i część kwater bandziorów, zorganizowano akcję na szerszą skalę i banda „Błyska" została całkowicie rozbita.

Tak więc w 1946 roku grasowało już na Lubelszczyźnie mniej band — razem 32, w tym 18 WiN, 10 NSZ i 4 UPA. Stany ich wahały się od 20 do 120 ludzi. Ale mimo to działały jeszcze bardziej zaciekle. W ciągu roku dokonały one ponad 2 300 napadów, mordując 727 osób, raniąc 326 i uprowadzając 23. Trzecia część zamordowanych była członkami PPR. Służba Bezpieczeństwa i Milicja Obywatelska przeprowadziły przeciwko bandom blisko 2 000 operacji, w wyniku czego 25 z nich zlikwidowano. Zdobyto ogółem 2 375 sztuk różnej broni, w tym moździerze i cekaemy. Niektórzy z bandytów, których nie zdołano ująć w czasie likwidacji, tworzyli nowe grupki bandyckie. W sumie jednak siły podziemia znacznie zmalały.

Przykładem bohaterstwa ludzi, stojących na straży bezpieczeństwa, niech będzie wypadek, jaki rozegrał się wiosną tego roku pod Parczewem. Sześciu pracowników PUBP we Włodawie natknęło się na ponad czterdziestoosobowy oddział bandy „Jastrzębia". Mimo bardzo nierównych sił walka trwała ponad 3 godziny. Dowódca grupy pracowników UB ppor. Konasiuk wobec wyczerpywania się amunicji polecił pięciu pozostałym wycofywać się, a sam pozostał na miejscu osłaniając odwrót. Walczył do ostatniego naboju.

Jednak w wyniku ofensywnych działań Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej były kolejno likwidowane bandy: 70-osobowa „Uskoka", 80-osobowa „Żuka", 40-osobowa „Młota", 300-osobowa „Szarego", 120-osobowa „Wołyniaka" oraz największa banda „Zapory", licząca wraz z pododdziałami ok. 1 500 ludzi. Kilkuosobowe resztki grasowały aż do 1952 r. Jeszcze w maju 1951 r. grupa bandycka „Żelaznego" zamordowała i zmasakrowała zwłoki, jadącego do Włodawy przewodniczącego Woj. Rady Narodowej, Ludwika Czugałę, a tego samego dnia w pobliskiej wsi Denczypole 5 członków PZPR. W październiku grupa „Żelaznego" została ostatecznie zlikwidowana, a on sam zabity, gdy usiłował wydostać się z okrążenia.

Ostatnie bandy i grupy bandyckie zlikwidowane zostały w roku 1952, a jedna z nich nawet w 1954 r. Między innymi na miesiąc przed wyborami do Sejmu zniszczono w powiecie tomaszowskim 18-osobową, wyjątkową krwawą bandę „Burty", która dokonała szeregu mordów o charakterze politycznym i wielu napadów terrorystycznych. Bandyci rozzuchwalili się nawet do tego stopnia, że podłożyli miny pod szkołę, w której odbywała się konferencja nauczycielska, i ostrzygli włosy kilku aktywistkom Związku Młodzieży Polskiej. W tym samym roku zlikwidowane zostały: 11-osobowa banda Gołębiowskiego i 5-osobowa banda Kłysia ps. „Rejonowy" w pow. kraśnickim oraz 6-osobowa banda Pakoza w powiecie zamojskim, która również mordowała aktywistów PPR, ZMP i ludzi postępowych. Natomiast banda Sadowskiego i Skwary została unicestwiona dopiero 23 maja 1954 roku.

W tej ciężkiej, bezkompromisowej walce z reakcyjnym podziemiem i stojącymi za nim siłami zagranicznymi straciło życie ponad 1 200 funkcjonariuszy UB i MO. Trudne były narodziny Polski Ludowej...

Oprac. **Jerzy Dostatni**

ALEKSANDER ALEKSY

Dokończenie ze str. 1

O tym, co było przed Lublinem, wiem z prasy i „wieści gminnej". Nie muszę podawać roku urodzenia, faktem jest, że obchodząc dziś 45-lecie pracy artystycznej, pozostaje Aleksander Aleksy nadal zdumiewająco młody. Zachował piękne, jak to się mówi, warunki zewnętrzne i pełnię sił twórczych. A bo też i stąd te 45 LAT, że już jako uczeń gimnazjalny w Wilnie, mieście rodzinnym ojca i matki, uczęszczał potajemnie na Kursy Dramatyczne przy Teatrze im. Syrokomli. Nieprzeciętnym chyba był adeptem, skoro kierownictwo wymienionego teatru pozwoliło mu tam zadebiutować i dyrektor H. Cepnik nie wzdragał się również przed popisami niedorostka w Teatrze Wielkim na Pohulance.

Oczywiście nie uważamy tych szczęsnych pierwocin za początek kariery artystycznej Aleksandra Aleksego. Dokształcał się jeszcze potem w Szkole Dramatycznej przy lwowskim Konserwatorium pod dyrekcją Fr. Frączkowskiego, grając jednocześnie w Teatrze Wielkim i w „Bagateli". W r. 1925 kończy szkołę i odtąd ma prawo nazywać siebie AKTOREM.

Zaczynają się typowe dla zawodu wędrówki. A więc — dwa sezony w Kaliszu, Toruniu (r. 1927), Grodno i Białystok (1928/30) następnie znowu Lwów i Wilno, później Bydgoszcz, Poznań. W 1938 r. Warszawa, Teatr Malickiej.

Wojna pokrzyżowała dalsze plany. Okres okupacji przeżywa Aleksy w Łodzi, przebywając ponad dwa lata w więzieniu hitlerowskim.

Dopiero rok 1948 realizuje dawny zamiar trwalszego związania się z teatrem kaliskim. Ale — rzecz dziwna! — po jednym sezonie znajdzie się nagle Aleksy we Wrocławiu. Lecz w 1950 — znów Kalisz. Podobno ciągnęły tam naszego Jubilata wspomnienia o pracy wielkiego Jaracza i o innych ciekawych indywidualnościach artystycznych... A może Kalisz symbolizował „młodość, miłość i awanturę"? Jednak Kalisz nie zatrzymał Aleksego na stałe. Wywędruje jeszcze raz stamtąd. Do Częstochowy, do Łodzi — do Adwentowicza...

Wreszcie — cóż za igraszka trafu! — Lublin. Lublin, który złośliwcy pomawiają o to, że wypłasza artystów, potrafił przekształcić przygodne zastępstwo awaryjne na złoty łańcuch sukcesów z siedemnastu już ogniw rocznych, wiążących Aleksandra Aleksego nierozerwalnie z pierwszym teatrem Polski Ludowej!

Aleksy przybył do nas jako artysta dojrzały, w pełnym rozkwicie talentu, mając w dorobku m.in. takie role, jak Konrad, Ksiądz Piotr, Senator w „Dziadach", jak role Samuela, Dziada, Natana w „Sędziach" Wyspiańskiego, W. Ks. Konstantego w „Nocy Listopadowej", rola tytułowa w „Judaszu z Kariothu" Rostworowskiego, również tytułowa w jego sztuce „Kajus Cezar Kaligula", a także Ojca w „Niespodziance". Hr. d'Antraigues w „Sułkowskim", Okulicza w „Odwetach" Kruczkowskiego, Zdżarskiego w „Dla szczęścia" Przybyszewskiego, Cadyka w słynnym „Dybuku" — wymieniam zaledwie kilkanaście z tych, w których Lublin nie widział Aleksego. Zaiste niepowetowana dla nas strata.

Ale jako miłośnicy Lublina, którym szczególnie leży na sercu wzbogacenie życia artystycznego tego miasta, możemy wszak z satysfakcją stwierdzić, że właśnie tu, w Lublinie, doprowadził Aleksander Aleksy swój artyzm do szczytowych osiągnięć.

Sądzę, iż nie pomylę się obliczając kracje Aleksego w Teatrze im. J. Osterwy z grubsza na pięćdziesiąt postaci. Prawie wyłącznie pierwszoplanowych. Możliwości tego różnostronnego artysty zostały tutaj od razu ocenione bardzo wysoko, zatem po prostu racjonalna gospodarka kadrami aktorskimi nie pozwalała na obsadzanie Go w tzw. „ogonach".

Z wymienionej dużej liczby kreacji naszego Jubilata nie pamiętam żadnej, którą by należało Mu wytknąć przynajmniej w przeglądzie nie-jubileuszowym jako niefortunną. Chyba że — chyba że postać Arbienina, bayronicznego kochanka z „Maskarady" Lermontowa.

Już widzę, jak Pan Aleksander na tę nieśmiałą moją uwagę marszczy brwi niczym Jego podobizna ze zdjęcia „Nad rolą". Cóż, każdy wielki artysta ma swoją achillesową piętę — fatalne marzenie niewczas ziszczone. Zresztą udawał się Aleksemu znakomicie w innym kontekście obraz trudnej miłości panów z siwizną na skroniach. Np. rozpaczliwa namiętność dumnego Szambelana z „Głupiego Jakuba" czy uległość zmysłom degradująca Korbuta w „Domu na Twardej" Korcellego, wystawionym u nas w lipcu 1954 r.

A właśnie Korbut... Jakże mistrzowsko opracował Aleksy postać szlachetnego, lecz słabego samotnika, załamującego się pod presją hien okupacyjnych, które szantażują go obietnicą uratowania życia synowi, więzionemu przez gestapo. Po tym ze wszechmiar wybitnym sukcesie artystycznym o mało nie porwała nam Aleksego Warszawa. Na szczęście Lublin jednak potrafił Go zatrzymać, zdaje się odpowiednio dogodnym mieszkaniem — dziś mieszkania częstokroć decydują o migracji artystów...

Różnorakie dyspozycje charakterologiczne Aleksandra Aleksego są najdowodniejszym argumentem na obalenie pojęcia emploi w zastosowaniu do aktora obdarzonego przez naturę szczodrze talentem. Było swego czasu w teatrach tak zwane emploi szlachetnego ojca. Czy Aleksander Aleksy dobrze gra „ojców szlachetnych"? Ma się rozumieć, doskonale. Prosze: w tragedii np. Don Diego („Cyd" Corneille'a — Wyspiańskiego). Nic z koturnowego patosu, który mnie niegdyś denerwował w Comédie Française. Zwyczajne ludzkie, ojcowskie zatroskanie, prostota finezyjna, podobna do tej, jaką niedawno zademonstrował w telewizji Mrożewski, grając rolę króla Kastylii w tymże „Cydzie". A teraz poszukajmy „szlachetnego ojca" w komedii. Już mam: u Blizińskiego, rola tytułowa w „Panu Damazym". Aleksy gra ją bez zarzutu. Jest uosobieniem rozrzewniającej swojskiej poczciwości. I co za vis comica!

Albo taki „szlachetny ojciec" w przenośni — Antoni Makarenko z „Poematu pedagogicznego". Ojciec wielu dzieciom, ściślej mówiąc — bandzie nie od razu obłaskawionych **besprizornych**. Ani tragiczny, ani komiczny, spokojny, ludzki i rzeczowy w swej rozwadze powołanego wychowawcy.

— Przepraszam — ktoś powie — wszystkie te osiągnięcia mieszczą się właśnie w e m p l o i „szlachetnego ojca".

Zgoda, ale oto postać ojca zgoła „nieszlachetnego" — Phil Hogan w tragikomedii O'Neilla „Księżyc świeci nieszczęśliwym". Grając tego „wieprza pełnego pogańskiego witalizmu" Aleksy najlepiej trafił w ton autora, jak słusznie stwierdziła jedna z recenzji.

Albo rozpustny Prochor w „Wassie Żeleznowej". Tu trzeba było czerpać inspirację z całkowicie innych zasobów wiedzy psychologicznej i tutaj Aleksy znów okazał się mistrzem. A taki Wurm. W tekście „Intrygi i miłości" wręcz schematyczny czarny charakter z dworu książęcego, w interpretacji Aleksego staje się on jedną z najbardziej wyrazistych figur spektaklu.

Czcigodny nasz Jubilat celuje zarówno w klasyce, jak w sztukach współczesnych. Cierpieniem Wojewody wstrząsał do głębi widownię, unikając zarazem (zwłaszcza w powtórnej inscenizacji „Mazepy") akcentów melodramatycznych, które tak łatwo mogą skazić finał tragedii. I nie zapomnę także nigdy Aleksego jako Messerschmanna w przejmującej scenie darcia banknotów z „Zaproszenia do zamku" Anouilha...

Aleksy jest znakomitym aktorem tragicznym i bez wątpienia nie mniej doskonałym komikiem. W „Fantazym" umie wzruszyć widza naiwną dobrocią Majora, w „Zemście" ubawi filuterną dobrodusznością Dyndalskiego...

Można by tak chwalić Aleksego w nieskończoność — chwalić nie jubileuszowo, szczerze. Ale pragnę podzielić się z Przyjaciółmi teatru jeszcze pewną uwagą ogólniejszej natury. Otóż Aleksy jest aktorem typu emocjonalnego. I to zapewne stanowi w dużej mierze o Jego uniwersalnej u nas popularności. Aktorzy „intelektualni", zimni, stale z zasady „stojący obok roli", łatwiej dają się wmontować w nowoczesne inscenizacje, ale indywidualne ich walory są dostrzegane w pełni raczej przez reżysera, wytrawną krytykę i stosunkowo ograniczony krąg widzów. Aktor „emocjonalny" w najlepszym sensie słowa, który jak Aleksy potrafi łączyć przeżycie z samokontrolą, porywa całą widownię, niezależnie od stopnia jej wyrobienia teatralnego.

Obyśmy jak najwięcej mieli aktorów typu emocjonalnego. Byli oni od wieków filarami teatru, to ich talenty przyciągały na widownię tłumy.

I niech jeszcze przez długie lata raduje ludzi swoją prawdziwą sztuką Aleksander Aleksy, nasz ulubiony Aktor, wierny Lublinowi!

Maria Bechczyc-Rudnicka

„Kto pyta nie błądzi"

CZY to prawda, że przyjedzie odwiedzić nas generał? Kiedy Polska wystrzeli swego sztucznego satelitę? Ile soli spożywa statystyczny Polak w ciągu roku? Dlaczego Radom nie jest stolicą województwa? Dlaczego ChRL nie należy do ONZ? Ilu mężów miała BB? Czy wypada odmawiać pocałunku chłopcu, który zaprosił mnie na lody? Czy Murzyn może zostać papieżem? Co robić aby schudły łydki? Dlaczego buty z „Radoskóru" są gorsze od węgierskich?

Co dwa tygodnie w Radomiu odbywa się impreza pt. „Kto pyta — nie błądzi", organizowana przez oddział redakcji „Słowa Ludu". Ma ona charakter zgaduj-zgaduli, a uczestniczy w niej 8 liceów ogólnokształcących i 10 szkół technicznych z miasta. Pytania uczniowie składają anonimowo na kartkach (190 stron maszynopisu liczyła lista pytań wysuniętych jednorazowo), przy czym nie są niczym ograniczeni. Po prostu pytają o to, co ich interesuje, na co chcieliby otrzymać odpowiedź. Stąd też tak rozległa tematyka, stąd też jedni poruszają problemy pierwszorzędnej wagi, drudzy pytają o różne drobne ciekawostki.

Organizatorzy segregują pytania na kartkach i do odpowiedzi na główne, najczęściej poruszane tematy, np. polityczne, gospodarcze, wojskowe, naukowe itd., zapraszają specjalistów. M. in. odpowiadali płk Jan Lipczyński i redaktor naczelny „Słowa Ludu" dr Marian Skarbek. Na inne pytania odpowiadają sami uczniowie, a ściślej mówiąc reprezentacje szkół. Imprezę prowadzi popularny radomski reporter red. Jerzy Figas, a okraszają ją występy znanych polskich artystów estradowych. 800-miejscowa sala, w której to wszystko się odbywa, nie może pomieścić nawet połowy kibiców tych emocjonujących turniejów umysłowych. Kuratorium Okręgu Szkolnego w Kielcach przeznaczyło nagrodę finansową dla szkoły, której reprezentacja odpowie na największą liczbę pytań.

Rozpatrywany jest też projekt nadania imprezie charakteru ogólnowojewódzkiego. Ma on jednak wielu oponentów, którzy — nie bez słuszności chyba — obawiają się, że współzawodnictwa reprezentacji szkół, których młodzież nie zna się osobiście, nie będą takie ciekawe i angażujące widzów. Może więc rzeczywiście nie warto rozdymać małej, świetnej imprezy, aby w cieście nie zrobił się zakalec? Ale z drugiej strony warto pomyśleć o organizowaniu podobnych imprez także w innych miastach. Jest to przecież nie tylko wspaniała zabawa, ale i znakomity sposób uzupełniania wiadomości z różnych dziedzin.

(R).

Kamena str. 8

POWTÓRKA Z POLSKIEGO

Powieść i komedia Oświecenia

Urszula Kowalska

CECHĄ zasadniczą literatury XVIII-wiecznej, wynikającą z jej oparcia się o racjonalne i empiryczne przesłanki filozofii, była jej użyteczność społeczna. Wyobrażano sobie, że literatura jest narzędziem walki z zacofaniem i ciemnotą, z ludzkimi wadami oraz ze szkodliwymi zjawiskami życia społecznego. Aby sprostać ambitnym zadaniom, pisarze ówczesni wybierali takie gatunki literackie, które były predestynowane do udźwignięcia dydaktyzmu, były to: bajka, satyra, poemat heroikomiczny, powieść i komedia. Trzy pierwsze omawiano już uprzednio, zatrzymajmy się więc nad pozostałymi.

Powieść jest tworem wyraźnie oświeceniowym, nie znaczy to, że powstała ona bez czerpania z tradycji epiki wcześniejszej, że nie oparła się na doświadczeniach epiki romansowej, sięgającej jeszcze czasów starożytnych. Zmieniła ona jednak i przekształciła stary romans awanturniczy i dydaktyczny, sięgnęła po doświadczenia powiastki filozoficznej i publicystyki. Powstała w Anglii i szybko rozprzestrzeniła się w całej Europie, podejmując zasadnicze problemy epoki. Jej twórcami byli Swift ze słynnymi „Podróżami Gulliwera", Defoe z „Przygodami Robinsona Cruzoe", Sterne z „Podróżą sentymentalną" i inni. Tymi samymi śladami kroczyli Diderot i Rousseau, twórca słynnej powieści sentymentalnej „Nowa Heloiza" oraz pisarze polscy — głównie Krasicki i Jezierski.

Powieść oświeceniowa, powstała w opozycji do romansów antycznych, średniowiecznych i siedemnastowiecznych, rządziła się rzeczowymi prawami, pozwalającymi jej na konstrukcje świata przedstawionego, podporządkowanego rygorom racjonalnym. Jakkolwiek szeroko wykorzystywała przygodowość i fantastykę, wprowadzała najczęściej narratora w pierwszej osobie, który swoją relacją miał upodobnić przedstawione zdarzenia, będąc ich bohaterem albo naocznym świadkiem. Z zabiegiem takim mamy do czynienia w „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach" i w Panu podstolim" Krasickiego. W innej powieści tego autora, w „Historii na dwie księgi podzielonej", Krasicki uprawdopodabnia fantastyczną fabułę przez zastosowanie jeszcze innego chwytu. We wstępie do powieści zaznaczył, że w zupełnie przypadkowych okolicznościach znalazł rękopis mający cechy autobiografii i publikuje go dla jego treściowych walorów. Powieść ta bowiem przedstawia wiecznego człowieka, który przy pomocy pewnych zabiegów wielokrotnie się odmładza i żyje w różnych epokach. Krasicki — racjonalista ukazał w tym utworze, że bez względu na czas historyczny natura ludzka jest niezmienna.

W „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach", pierwszej powieści polskiej, bohater tytułowy o znaczącym nazwisku, jako człowiek już dojrzały spisuje swoje niezwykłe przygody, aby podzielić się z czytelnikiem życiowym doświadczeniem. Krasicki chce zaprezentować pozytywny wzór do naśladowania, ideał sensownego, zracjonalizowanego człowieka Oświecenia.

Powieść składa się z trzech romansów: obyczajowego w księdze I, utopijnego w II oraz awanturniczego w III. Mikołaj opowiada nam początkowo (w księdze I) o środowisku średnioszlacheckim, z którego pochodzi, o jego niedobrych tradycjach sarmackich, takich jak wiara w zabobony i sny, pijaństwo czy skłonność do procesowania się. Autor, przemawiając ustami swego bohatera, wyśmiewa również system edukacji młodego szlachcica i naśladowanie złych wzorów, co przejawiało się m.in. w hołdowaniu modzie francuskiej.

Krasicki przeprowadza swego bohatera przez skomplikowane koleje losu: każe mu najpierw być złotym młodzieńcem i wojażerem, potem ofiarą oszusta, wreszcie (w księdze II) rozbitkiem na wyspie Nipu, gdzie Xaoo uczy go szacunku dla pracy. Romans utopijny jest najsłabszą częścią tej powieści, zracjonalizowany, zdroworozsądkowy autor nie wierzy w istnienie idealnego społeczeństwa, nie wierzy również w możliwość przekształcenia Europejczyka na tyle, żeby — mając potem okazję — nie chciał on wrócić do cywilizacji. Toteż Mikołaj w tajemnicy przed Nipuańczykami buduje łódź z resztek rozbitego okrętu, zabierając z niego również kasę i przy pierwszej sposobności wypływa na morze, mając nadzieję powrotu do Europy.

Księga III mówi o dalszych jego perypetiach, o nieuczciwym kapitanie napotkanego statku, który sprzedaje go jako niewolnika na plantacje do Ameryki, o pobycie w domu wariatów, ponieważ bohater głosił zasady społeczne obowiązujące na Nipu oraz o powrocie do kraju, ożenku i sensownym, zdroworozsądkowym życiu i gospodarowaniu człowieka, który zmądrzał i wysnuł właściwe wnioski ze swoich licznych perypetii.

Powieść ta, podobnie jak inne, ma wyraźne walory dydaktyczne i ambicje wskazywania właściwego modelu życia.

Ważną dziedziną w życiu kulturalnym Oświecenia był teatr, cieszący się dużym zainteresowaniem zarówno twórców jak i odbiorców. Głównie w jego repertuarze znajdowały się komedie polityczne i społeczne, które znalazły autorów w osobach Bohomolca, Bielawskiego, ks. A. Czartoryskiego, Zabłockiego, Bogusławskiego, Krasickiego i młodziutkiego wówczas Niemcewicza.

Komedia oświeceniowa była komedią postaci, które nosiły często znaczące nazwiska (np. Starunkiewicz, Szarmancki itp.). Postacie te były „czarno-białe", wyraźnie pozytywne lub negatywne, bez indywidualizacji, ponieważ głównym ich zadaniem było prezentowanie dobrych lub złych cech ludzkich i postaw społecznych. Komedia oświeceniowa wyzyskiwała również często przejętą z komedii francuskiej intrygę służących, którzy pomagali swoim chlebodawcom w realizacji życiowych dążeń, głównie małżeństw. Komedia ta jednakże poruszała problemy polityczne i obyczajowe nurtujące społeczeństwo, wyśmiewała wady — zacofanie, przesadne hołdowanie modzie.

Najwybitniejszą indywidualnością życia teatralnego w Oświeceniu był niewątpliwie Bogusławski, szlachcic z pochodzenia, który odważył się zostać „komediantem" wówczas, gdy aktor nie miał żadnego społecznego prestiżu ani ochrony. Bogusławski nie dość, że był autorem i tłumaczem wielu sztuk oraz aktorem, dążył do reorganizacji środowiska aktorskiego, do tworzenia szkół dla młodych adeptów sceny, wreszcie do organizacji czegoś na kształt związków zawodowych, ochraniających interesy aktora.

Życie kulturalne polskiego Oświecenia było niezmiernie żywe i bogate. Działalność pisarzy, artystów, publicystów społecznych i politycznych, reformatorów państwa (m.in. Zamojski i jego „kodeks"), uczonych i organizatorów szkolnictwa dała podstawy do ukształtowania nowego typu świadomości społecznej i nowego typu człowieka. Wracamy często do tej pięknej i bujnej epoki jako do źródła nowoczesnego poglądu na świat i dziedzictwa postępowej, demokratycznej myśli.

RZECZ ZAOKIENNA

Roch Sęczawa

Jeżeli i ja miałbym powiedzieć coś w tej sprawie, to musiałbym przede wszystkim zacząć od tego, że również wtedy stałem przed świetlicą. Tylko że ja niepotrzebnie stałem. Wróć, źle się wyraziłem. Przecież gdybym wtedy nie stał, teraz nie miałbym nic do powiedzenia, a wydaje mi się, że moje słowa będą w tej sprawie potrzebne. Trzeba by to właściwie określić: nie miałem wtedy prawa do stania przed świetlicą. Tak, teraz jest dobrze. Nie miałem prawa stać przed świetlicą, gdy ludzie szli na ten pierwszy odczyt.

Co innego Władek Witun i Edek Nazar. Teraz, kiedy jest we wsi tyle wrzawy, wiem na pewno, że mieli prawo stać wtedy przed świetlicą. Gdyby nie mieli prawa, gdyby się zatrzymali przypadkowo, jak ja, całe to zdarzenie byłoby dawno zapomniane, choćby szyba nie została wstawiona do tej pory.

Ale w tej wrzawie chodzi o coś innego. Gdyby nie chodziło o coś innego, nie wymieniano by tylko ich nazwisk, bo przecież i ja stałem z nimi przez cały czas, i zostałem z nimi, i mnie także nie było na tym odczycie. Tylko że ja nie miałem prawa tam stać, więc nikogo to nie uraziło, oni natomiast mieli prawo i skorzystali z niego, i tego właśnie wieś im nie może wybaczyć.

Kiedy mnie nie było we wsi, bo odbywałem służbę wojskową, oni obaj, Władek Witun i Edek Nazar, najwięcej napracowali się przy zwózce materiałów, najwięcej też pomagali murarzom przy budowie świetlicy. Tego nikt im nie zaprzeczy. Wiedzą też wszyscy, że nie było oficjalnego otwarcia świetlicy i oni obaj, chociaż się najwięcej napracowali, od nikogo nie dostali za to ani podziękowania, ani zwykłego „pocałujcie nas gdzieś". Mieli więc chyba prawo stać wtedy w pełnym świetle, i chociaż wiał diabelnie zimny wiatr, mówić „dobry wieczór" babom i chłopom idącym na odczyt, można powiedzieć, do ich świetlicy. Mieli prawo właśnie dlatego, że niejedna z tych bab i niejeden z tych chłopów ciszej czy głośniej wyśmiewali się z nich, kiedy jeszcze wozili pustaki i belki, czy później, kiedy za ładne oczy pocili się nad mieszaniem zaprawy czy innym przynieś-podaj. Należało im się to wcale nie przesadnie grzeczne ale po prostu grzeczne mówienie „dobry wieczór" opatulonym w chustki babom i zasłaniającym się przed wiatrem chłopom, gdy przemykali do świetlicy, a żaden jakoś nie zatrzymał się z nami na papierosa, chociaż palili nieraz nie na takim zimnie. Tylko że zatrzymanie się z nami byłoby przyznaniem racji Władkowi i Edkowi.

Ale o tym, że tylko Władek Witun i Edek Nazar mają prawo stać przed świetlicą, chociaż za ciepło nie byli ubrani, spostrzegłem dopiero z chwilą nadejścia Ziętarzyny, o której pisano mi, że przez cały okres budowy świetlicy wydziwiała nad nimi gdzie się dało i przed kim się dało. Przechodząc koło nas zatrajkotała, powiedziałbym, z uśmiechem, jakim się kwituje dobrze zrobiony i niegroźny kawał: — No, zaraźniki! Jak mi stary krów nie wydoi, to wam kudły powyrywam! Żeby to człowiek musiał przez nich buchać po takim ćmaku!...

To było jedyne głośne uznanie dla ich wysiłków, ale zupełnie wystarczające, żebyśmy wreszcie mogli przerwać to kostnienie na zimnym wietrze. Mogliśmy wejść do wnętrza i należało wejść, bo — jak okazało się później — był to jedyny właściwy moment, tylko że marznąc staliśmy dość długo, a było jeszcze chyba pięć minut czasu do rozpoczęcia odczytu, prelegent nie wychodził z mieszkania kierownika szkoły — skoczyliśmy więc za świetlicę.

Kiedy wróciliśmy przed front, a dokładniej: kiedy wychyliliśmy się przed front, rzeczywiście przed wejściem stał kierownik i mówił coś temu prelegentowi, ale co — nie mogliśmy słyszeć, bo wyszliśmy od strony nawietrznej. Teraz można się jedynie domyślać, że cały ciężar budowy brał w tej rozmowie na swoje barki, może nawet robił się przed prelegentem męczennikiem czy kimś takim, jeżeli twierdzi, że Władek z Edkiem nie weszli do wnętrza, bo zagrała w nich urażona ambicja.

Jeżeli nie weszliśmy — winę trzeba zwalić na coś inne: na ich strach, tremę czy jak tam inaczej można jeszcze nazwać to uczucie. Umieliby jeszcze godzinę czy dłużej bez postawionych kołnierzy stać na tym zimnym wietrze i śmiało przepuszczać przed sobą pojedyncze postacie, ale zjawić się przed siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu parami oczu, kiedy każda z tych par oczu widziała ich popędzanych okrzykami murarzy, spoconych nie przy swoim, a dzisiaj odpłacających się za wszystkie śmiechy i przytyki tym grzecznie mówionym „dobry wieczór" — było ponad ich siły.

Przemknąć chyłkiem za czyimiś plecami, usadowić się gdzieś w ostatnim rzędzie — co innego. Tylko że przemknąć za plecami jakiegoś starego chłopa czy baby, która wchodząc głośno powie „dobry wieczór", a jeszcze lepiej „niech będzie pochwalony", rozdziawionymi ustami przykuje do siebie tych siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt par oczu, wykrzywi uśmiechem twarze. Wejście do sali bez tej osłony i to tuż przed kierownikiem i prelegentem, czy tuż za nimi, wszystko jedno, byłoby przekreśleniem sensu tego kostnienia na zimnym wietrze, skazaniem się w oczach obecnych, a później i całej wsi, na pretensjonalność, w oczach zaś specjalistów od wyśmiewania — na klęskę, tym razem trudną do naprawienia.

Zrozumiałem ich sytuację, bo miałem za sobą marznięcie na zimnym wietrze razem z nimi i pogróżkę — uznanie starej Ziętarzyny. Dlatego gdy kierownik z prelegentem wchodzili do świetlicy i kierownik krzyknął coś do nas: „chodźcie" czy „zaczynamy" — udałem jak oni, że nie słyszę i jak oni — również wpatrywałem się w ciemność czy ktoś jeszcze nie nadejdzie.

Ale nasze wpatrywanie się nie miało najmniejszego sensu. To był pierwszy odczyt nie tylko w nowej świetlicy ale w ogóle w naszej wsi, kto miał przyjść — przyszedł wcześniej niż należało.

Za to zaczął padać deszcz, a od czasu do czasu pokazywała się w świetle nitka śniegu. Niewiele tego było, ale jednak wystarczająco dużo, żebyśmy przynajmniej na moment mogli się trochę ożywić, zrzucić z siebie ciężar tego beznadziejnego wyczekiwania. Nadstawialiśmy ręce, ale żadnemu z nas nie udało się złapać płatka. Tyle tylko, że można było się trochę rozgrzać, zapomnieć wreszcie nawet o tym bezsensownym wyczekiwaniu i naszej głupiej sytuacji, a ja — nawet o odczycie.

Bo oni nie zapomnieli.

To nieprawda, że dla nich sprawa świetlicy kończyła się na wniesieniu do jej wnętrza ostatniego krzesła, czy — jak to powiedział ktoś jeszcze dokładniejszy — na zawieszeniu ostatniego obrazu. I nieprawda też, że chcieli zakłócić słuchaczom spokój. To bzdura. Jeżeli już spekulować, to raczej nad sprawą: czy woleliby, żeby odczyt był bardzo ciekawy, czy — żeby był absolutnie niewydarzony. Zresztą tak jeden jak i drugi przypadek mogliby w przyszłości dopasować do swoich potrzeb. Pierwszy — że jednak warto było harować przy budowie, drugi — że wiedzieli coś „z pewnej ręki" o możliwościach prelegenta i dlatego ani im się śniło marnować dwu godzin czasu na siedzenie w zaduchu. Myśl o chęci zakłócenia spokoju jest wyssana z palca. Biegając w dalszym ciągu za płatkami śniegu, czy dla samej rozgrzewki — mniejsza o to — widziałem jak ostrożnie pochodzili pod drzwi, żeby posłuchać, co się dzieje wewnątrz.

Pierwszy wrócił Edek i powiedział, że prelegent fajnie mówi. Po chwili nadszedł Władek. Potwierdził jego zdanie dodając jednocześnie, że słuchacze nie wywołują najmniejszego szmeru.

I to właśnie zaważyło na wszystkim.

To znaczy na tym, że zatrzymaliśmy się jeszcze, później, ale to grubo później poleciała szyba, a myśmy musieli zwiewać spod świetlicy co sił w nogach.

Cisza na zebraniu w naszej wsi! Myślę, że nie tylko dla mnie było to coś absolutnie niezrozumiałe, do tego stopnia nie do przyjęcia, że aż wymagające ponownego sprawdzenia. Chodziliśmy przecież z zasady na wszystkie zebrania gromadzkie i wiedzieliśmy po co większość przychodzi, mogło się nam wydawać, że znamy na tyle swoich bliskich i dalszych sąsiadów, żeby w tej chwili dość dokładnie odtworzyć ich miny, wymianę spojrzeń, w ogóle ich zachowanie.

— Przecież jest Ziętarzyna — przypomniałem, zaczynając od grubszego kalibru. Bo sprawdza się od lat, że Ziętarzyna zawsze w trakcie zebrania „ocyka się" kilka razy, żeby komuś — kto najczęściej siedzi w drugim końcu sali — zakomunikować, że wprawdzie takiej to a takiej rzeczy, którą pożyczyła, na razie nie może jeszcze oddać, ale jutro bądź pojutrze przyjdzie pożyczyć coś innego. Nawiasem trzeba dodać, że ze strategicznego punktu widzenia jest to bardzo mądre posunięcie: zagadnięty nie śmie odkrzyknąć, że jest to niemożliwe, więc Ziętarzyna uważa sprawę za załatwioną, w wyznaczonym przez siebie dniu jest nieustępliwa.

Potwierdzili moją uwagę, ale to wcale nie ułatwiało rozwiązania zagadki, raczej przeciwnie — komplikowało ją.

Spojrzałem na zegarek: odczyt trwał już ponad pół godziny, więc byłoby niemożliwe żeby Stefan Kostek nie zaczął jeszcze głośno chrapać.

Tym razem, również bardzo cicho, podeszliśmy pod drzwi we trzech, ale rzeczywiście: słychać było jedynie głos prelegenta. Nasilający się, gdy prawdopodobnie zwracał twarz w stronę drzwi i przycichający, gdy był zwrócony w stronę przeciwną czy też w głąb sali.

Jak już zaznaczyłem, przez dwa lata nie było mnie we wsi, a w ciągu dwu lat nie tylko wieś, ale i ludzie mogą się zmienić. Więc zapytałem szeptem, czy ktoś Kostka ostatnio nie budzi. Powiedzieli mi, że jak i przedtem — ośmiela się na to jedynie sołtys. Sołtysa jednak żaden z nas nie widział. W rachubę mógł jeszcze wchodzić kierownik szkoły. Poza nim jednym nikt z obecnych nie odważyłby się tego zrobić. Po pierwsze dlatego, że Kostek zwymyślałby go od gówniarzy, a po drugie — że naraziłby się wszystkim zebranym pozbawiając ich przyjemności pośmiania się. Nie można jednak wyobrazić sobie kierownika szkoły siedzącego gdzieś w końcu sali, w pobliżu Kostka. Jak również nie można sobie wyobrazić siedzącego spokojnie Kajetana Warzechy, któremu głuchota do spółki ze sklerozą na każdym zebraniu każą co kilkanaście minut dopytywać się głośno czy będą jakieś umorzenia w obowiązkowych dostawach.

Odeszliśmy od drzwi wiedząc, że ciężko nam będzie absolutnie z niczym wracać do domów. A dalsze kostnienie — teraz już nie tylko na zimnym wietrze, ale i na deszczu — nie miałoby najmniejszego sensu. Jednak doszliśmy do furtki. Wolno, z ociąganiem, ale doszliśmy. Wszyscy trzej zasłaniając się od deszczu kołnierzami jesionek i wszyscy trzej może również z tego powodu z twarzami skręconymi w stronę oświetlonych okien, niedostępnych dla nas, za wysoko położonych.

Poza furtkę jednak żaden z nas nie wyszedł. Nie powiem, żeby Władek, Edek czy ja pierwszy się zatrzymał. Zatrzymaliśmy się równocześnie i patrzyliśmy na jedno: na leżącą pod płotem drabinę.

Ta drabina, to było dla nas coś więcej niż drabina. To była szansa. Wykorzystanie jej dawało nam w tej historii możliwość powrotu do domów bez przekonania, że wracamy absolutnie z niczym, bo byliśmy durniami, a teraz jesteśmy nimi do kwadratu. Podarowaliśmy sobie odczyt, bo musieliśmy podarować, bo tak się świńsko złożyły okoliczności; nic natomiast nie stało na przeszkodzie, żeby przystawić drabinę pod okno, przyjrzeć się twarzom słuchaczy, naocznie sprawdzić, co za cuda się dzieją z Ziętarzyną choćby, Kostkiem czy Warzechą, że sala smuży tylko światłem w tę pieską pogodę, nie daje ani jednej salwy śmiechu.

— Po pierwsze, żeby wszystko fest — powiedział Władek, a my zrozumieliśmy go, tylko że Edek, gdy z drabiną dochodziliśmy już do pierwszego okna, bardzo słusznie zauważył:

— Stamtąd też ktoś fest może mnie czy ciebie.

Przeszliśmy więc pod ostatnie, oparli koniec drabiny tak lekko na jego parapecie, że nawet tynk nie zazgrzytał. Pierwszy wszedł Władek, przymierzył się do jednej szyby, później do drugiej, zszedł na dół i zaklął.

Edek po wykonaniu tych samych czynności był precyzyjniejszy. Powiedział: — Para.

Teraz dopiero zrozumiałem o co chodzi, mimo wszystko zacząłem się jednak wspinać po szczeblach. Byłem może na szóstym, najwyżej na siódmym, gdy zabrzęczała szyba w pierwszym oknie. Już nie na drabinie ale dolatując do ziemi czy na ziemi pomyślałem, że ktoś z wewnątrz otwiera okno. Edek czy Władek, a może obaj równocześnie poderwali mnie z przysiadu, skręt za świetlicę, skok przez płot, półkolem po polach — do szosy.

Na szosie zatrzymaliśmy się, żeby złapać trochę oddechu. Kiedyśmy się wysapali Edek powiedział, że widział tego na szosie przed świetlicą, ale nie poznał, kto to mógł być.

— Ale on ciebie za to — zauważył Władek. — I teraz to nie on tylko ty — dodał.

Poszliśmy w stronę swoich domów. Po drodze Władek zaczął kombinować, co jeszcze można dolepić do świetlicy w przyszłym roku.

— Tylko żeby to było duże i choć z jednym mieszkaniem — wtrącił swoje zdanie Edek.

— Nie macie tego dość? — spytałem zatrzymując się naprzeciw swojego domu.

— Chłopie! — ni to ze zdziwieniem, ni to z przyganą krzyknął Władek, a Edek go uzupełnił:

— Ty wiesz jak tam może być fest, jak my kaloryfery? Ty wiesz?

Skąd mogłem wiedzieć. Dwa lata się człowiek kręcił po kuchni, nie popędzał go żaden murarz i żadna baba nawet nie spróbował się z niego śmiać, że tylko dureń może tyrać nie przy swoim. Ja tylko namarzłem się razem z nimi i słyszałem pogróżkę — uznanie starej Ziętarzyny. Taka mała, można powiedzieć, zaokienna rzecz. A z drugiej strony na tyle duża, że powiedziałem jednak: — Wiem! — I nasze paluchy aż zazgrzytały w uścisku.

KKMP Białystok

Eugeniusz Szulborski

domy

oto kołyski
pełne cegieł i wapna
dźwigi płaczą i transportery
jeszcze trochę zaprawy
i
gniazda os
zawieszone
między niebem a piekłem
zabłysną
zębami okien i balkonów

Powroty

Wchodzę w wieś
jak w orzech letnie słońce
Dojrzewam
radością traw i liści
smakiem porzeczek
z własnego ogródka
bo odkąd
sałata rośnie „na wagę"
a szczypior na pęczki
wchodzę do wsi
obcy jak spadły orzech
leszczynie

Janusz Berner

* * *

Jeśli nie starcza mi ciszy
nagromadzonej w tej ziemi
dlaczego wiatr mnie opuścił
z którym tu przyszedłem

oto zachód słońca
szamocze się w mojej twarzy
oto wyzwalam się z dnia
pomarszczonym czołem

przy drodze krzywej jak skrzydło
na drzewa twardych ustach
człowiek umiera

człowiek o którym wiedziałem
że jest nieśmiertelny

Olimpia Niedźwiedź

Matka

Oddałaś ręce ogrodom
na drwiny ostów i pokrzyw
plecy w aureolę ziemi
w rytm zmagania
na pot słoneczny
i wiatru chłostę.
Twarz oddałaś kwiatom
łąk i pól
niebom od świtów do nocy.
żytom żrałym
i lnom szeleszczącym koszulą.

A oczy otwarłaś szeroko
na rzeźbę dni moich...

Tadeusz Antoni Masłowiecki

Wigry

Gdyby drzewem z dzikimi liśćmi
pierwszym przy boku jeziora
posłusznym jego błękitom
stać na straży zieleni
i zakwitać gniewnie

gdyby niebem zawisnąć bursztynowym
jak czas ów kiedy słońce przygniata
i wytryska wiosna ze złotych kolumn

kiedy kwitnie perła wielkości Wigier

Zbigniew Bauer

Świerszcz

Dzisiaj
jak łatwo w zamkniętych dłoniach
uchronić zielonego świerszcza
dobrych nadziei
Jutro
zamienią na ergi każdy pocałunek
Jutro
opadną wielokolorowe
na skutek przyciągania ziemskiego
Jutro
zaczną mówić gładkimi prawami
na cześć okrągłych materii
Jutro
wycisną z blasku twoich oczu
wielokrotność w kandelach
Jutro...
a dzisiaj w dłoniach
zielony świerszcz
drobnych nadziei.

Rys. D. Opolski

Stanisław Mieńkowski

Nie odchodź

nie odchodź

świtem przyniosę geografię
w niej zieleń
piasek
i wydeptany szlak

w bruzdach rozdartej ziemi
resztki dnia zamieniają się
w podziw ptaka

nie odchodź

marzeniem wiosnę wskrzesi się od nowa
na złączu cieni
gdzie owoc obok drzewa
otwarciem tętnic zrzuca suszę

nie odchodź

jeszcze czas na spadanie liści

okolice sztuki

Nowa generacja

MALARSTWO nasze dzisiaj: kilka czy kilkanaście nazwisk klasyków za życia, twórców bez wątpienia wybitnych, następnie kilkudziesięcioosobowa czołówka, a dalej ta dwukierunkowa przeciętność, genetycznie związana albo ze sztuką afiguratywną, albo z sędziwym postimpresjonizmem, lub też — co jest już trzecią możliwością — krzyżująca te dwie pierwsze idee w przedziwne nierzadko hybrydy. Stan utwierdzony, cementowany przez lat wiele. Sytuacja przypominająca sklep samoobsługowy z ograniczonym asortymentem, w którym kręcą się znudzeni malarze, a publiczność sporadycznie patrzy w okna wystawowe. Zainteresowania wynikające z profesjonalnego nawyku i życiowej konieczności „uprawiania plastyki".

Wszystkie więc próby poruszenia tego zakurzonego układu muszą zwracać uwagę i budzić sympatię, skłaniają do waloryzacji ponad stan, nieco na kredyt. Pojawiło się właśnie to nowe, przez wielu od dawna oczekiwane, które różnie nazywają, lecz najczęściej „nową figurację". Prawdę mówiąc nie tyle pojawiło, co rozwija w szybkim tempie, wciągając w sferę swoich uroków malarzy najmłodszych, dopiero co po studiach. Lecz i starsi, jak by wyczuwając w tym malarskim nurcie ławice odżywczych wartości, zmieniają nagle orientacje i gromadzą się pod sztandarami „nuova figurazione".

Jest to tendencja rzeczywiście niezwykła, bo o nie sprecyzowanych konturach formalnych. Jedynym w zasadzie jej wykładnikiem jest włączenie w strukturę artystycznego przekazu postaci człowieka — z całym bagażem emocjonalnych i intelektualnych implikacji, jakie ten zabieg wywołuje. Mamy do czynienia z malarstwem dramatycznym i tragicznym w sposobach i treściach ujmowania człowieczego statusu, lecz ufającym, jak się wydaje, katatycznej, oczyszczającej przez ukazanie zjawiska, mocy artystycznej demonstracji. Na płótnach i planszach graficznych „nowej figuracji" odżywają stare mity i przewijające się od wieków przez sztukę archetypy, pojawiają się plastyczne formuły krytyki społecznej i antywojennego protestu. Nie ma w tym malarstwie powierzchownej afirmacji naszej cywilizacji.

„Nowa figuracja" jest dziś zjawiskiem o zasięgu światowym. Jej początki datują się gdzieś ok. 1960 r. — lecz zasadnicza eksplozja, przynajmniej w Europie, przypada na rok 1966. Bez względu na różnice w typach obrazowania, ideowa motywacja ruchu jest jedna, jej istotę lapidarnie ujmuje inwokacja S. Matty: „Wyodrębnijmy sztukę, która stworzona jest po to, aby budziła świadomość, a nie po to, żeby stanowiła dekorację. Jak może artysta pozostać obojętny w tych czasach masowego zabijania, w których tysiące istnień ludzkich zostaje wydanych na łup śmierci w najpotworniejszych okolicznościach?".

W Polsce „nowa figuracja" w malarstwie jest rzeczą głównie młodej generacji. Jako że mamy do czynienia z nurtem modnym, i — w różnym sensie — oczekiwanym, liczba wyznawców sztuki bezpośrednio humanistycznej rośnie, a ich przyjęcie przez spory odłam krytyki jest życzliwe, co zdaje się być niezbyt proporcjonalne do jakości prezentowanego malarstwa, którego autorzy uważają, że wystarczy stłoczyć w obrazie anachronicznie ukształtowane tony ludzkiego mięsa, aby wejść do wziętego grona twórców neofiguratywnych.

Wśród pozytywnych wyjątków, które podtrzymują wiarę w czystość intencji neofiguratywnej młodzieży, należy chyba umieścić skromny jeszcze dorobek malarski i rysunkowy Stanisława Łazorka, warszawskiego plastyka, urodzonego w 1938 r., wystawiającego swoje prace na przełomie stycznia i lutego w lubelskim Klubie MPiK. Łazorek obraca się na ogół w kręgu jednego tematu, jednego mitu śródziemnomorskiej kultury — mitu Ikara skupiającego ludzkie tęsknoty za wolnością oraz doświadczenia nieoczekiwanych porażek.

Pod względem struktury formalnej widać u Łazorka dobrą szkołę — na zasadzie znajomości dokonań — abstrakcji geometrycznej, z jej zdyscyplinowanymi podziałami powierzchni, z jej wyraźną rytmiką, a także owocny terminarz w rejonach surrealistycznej przygody wyobraźni. Znać też chwilowe zapatrzenie w pop-artowską ikonografię. W sumie: te właśnie, dość liczne, źródła struktury formalnej prac Łazorka łączą się przecież w jeden zwarty nurt — służący do sugestywnego przeniesienia dramatycznej idei.

Nieco później, w połowie lutego, w salach BWA otwarto kolejną wystawę dwóch warszawskich przedstawicieli dynamicznego kierunku: Marka Sapetty (ur 1939 r.) i Wiesława Szamborskiego (ur. 1941 r.). Cel tego malarstwa: za wszelką cenę zmusić widza do wysłuchania autorskich komentarzy o rzeczywistości. Służy temu szybkie, szkicowe i brutalne posługiwanie się środkami warsztatowymi, wielowątkowa lecz przejrzysta narracja u Szamborskiego, drastyczna i groteskowa symbolika (mężczyźni z tarczami strzelniczymi na plecach) u Sapetty. Służą temu wielkie rozmiary obrazów (250 cm × 163 cm nie należą do rzadkości), i wynikająca z malarskiego działania autentyczna witalność wyrazu. Malarstwo w sposób bezpośredni związane z codziennymi wydarzeniami (Szamborski), lub czerpiące z nich podniety do nieskomplikowannych metafor plastycznych (Sapetto). Dodajmy dla porządku, choć segregacje i szufladkowanie irytują artystów, że twórczości tej patronuje pop-art. Z daleka, ale jednak.

IJK

z bocznej trybuny

Staruszkowie na start!

PRZY końcu lutego zmarł w Warszawie Władysław Dobrowolski, jedna z piękniejszych postaci w polskim sporcie. Karierę swą rozpoczynał w roku 1922, gdy jako skromny, prowincjonalny zawodnik niespodziewanie pokonał najlepszych biegaczy krajowych. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, takie wypadki zdarzają się, gdyby nie to, że Dobrowolski miał wtedy 27 lat. Nawet dziś, gdy mówimy, że młodość trwa dłużej, często spotyka się opinie, iż w tym wieku należy raczej myśleć o rozstaniu się ze sportem, a nie o debiucie. A tym bardziej nie o sprintach — wiadomo bowiem, że z upływem lat człowiek nabiera wytrzymałości, ale traci szybkość.

Dobrowolski zaczął odnosić coraz większe sukcesy w biegach na krótkich dystansach i przez płotki, awansował do grona najlepszych dziesięcioboistów, był rekordzistą Polski w rzucie oszczepem, reprezentantem olimpijskim (1924 — bieg na 100 m).

Dobrowolski nie był jedynym człowiekiem rozpoczynającym karierę już w pełni dojrzałości. Tyleż samo lat, 27, miał francuski lekkoatleta pochodzenia arabskiego Mimoun, który później, już pod czterdziestkę, był wielką sławą międzynarodową, olimpijczykiem, oklaskiwanym gorąco wszędzie tam, gdzie się pokazał. A inny Francuz, Sillion, skoczek o tyczce, który w katastrofie samochodowej doznał wielokrotnych skomplikowanych złamań nóg i rąk, a po powrocie ze szpitala najpierw uczył się chodzić, potem próbował biegać, by wreszcie znów zostać reprezentantem swego kraju. A radziecki skoczek wzwyż, Brumel? Dwukrotnie miał złamaną w tym samym miejscu nogę. Z początku, zaraz po wypadku, wątpiono czy w ogóle będzie mógł w przyszłości chodzić. Dziś, po kilku latach — a Brumel nie jest już młodzieniaszkiem — wszczął treningi i skacze na nich po 190 cm. Proszę popatrzeć, co to znaczy siła woli. Siła woli, chęć współzawodnictwa i zwyciężania niezbędne są każdemu sportowcowi, lecz najwięcej muszą mieć jej ci, którzy rozpoczynają w trudnych swych warunkach, a więc na przykład po długiej chorobie, lub w nieco doroślejszym wieku, gdy normalna u każdego człowieka chęć wygodnictwa podszeptuje mu: „po co ci to?", „musisz być mistrzem?", „nie lepiej siąść na trybunie i popatrzeć jak inni się męczą?", „nie lepiej pojechać z żoną i dziećmi w niedzielę na zieloną trawkę?"

Polska lekkoatletyka największe swoje sukcesy odnosiła, gdy trzon reprezentacji stanowili zawodnicy już nieco starsi: Folk, Piątkowska, Piątkowski, Sidło, Rut, Ciepła, Ciepły, Krzyszkowiak, Schmidt... Niedawno Polski Związek Lekkiej Atletyki ogłosił, iż w zawodach I-ligowych startować będą mogli tylko ci sportowcy, którzy nie ukończyli 24 lat. Zarządzenie to wywołało niemało zamieszania, krzyżuje bowiem układ sił w lidze, niektóre zespoły zaliczane do czołowych, po wyeliminowaniu z walk ich najbardziej rutynowanych zawodników, będą miały kłopoty z utrzymaniem jakiegoś przyzwoitego miejsca w tabeli. Z pewnością zarządzenie PZLA krzywdzi poniektórych zawodników i odbije się ujemnie na ich formie i osiągnięciach. Dotyczyć to może zwłaszcza takich lekkoatletów, którzy mieścili się w zespołach I-ligowych, nie mieli natomiast możliwości częstszych startów za granicą, na mityngach, spotkaniach towarzyskich itd. Ogólnie jednak, decyzja PZLA o niedopuszczeniu do startów w I lidze zawodników powyżej 24 lat, ma na celu zmuszenie klubów do szkolenia na szerszą skalę młodzieży. Mieliśmy niegdyś znakomitą reprezentację, która przywoziła nam stosy medali z mistrzostw Europy i olimpiad. I kiedy w dość krótkim okresie większość tych najlepszych wycofała się z czynnego uprawiania sportu, polska lekkoatletyka przestała się liczyć w świecie. Dziś byłoby naiwnym zarozumialstwem mieć nadzieję, że drużyna z białymi orłami na koszulkach jest w stanie nawiązać równorzędną walkę z drużyną ZSRR czy USA — a przecież nie tak dawno jeszcze tak bywało. Może więc ten limit wieku w I lidze pozwoli na wypłynięcie na szerokie wody nowemu gronu utalentowanych zawodników, którzy w roku 1972, na czas olimpiady w Monachium staną się już gwiazdami pierwszej wielkości?

Oczywiście, starając się zrozumieć i wyjaśnić motywy decyzji PZLA, nie można jednocześnie wpadać w przesadę i uznawać ludzi 24-letnich i starszych za emerytów sportowych. Przeciwnie, 24 lata to dziś wiek tak samo odpowiedni do rozpoczynania kariery sportowej jak za czasów Władysława Dobrowolskiego. Może nie we wszystkich dyscyplinach, a przynajmniej, nie we wszystkich konkurencjach. Lecz ogólnie — tak. A już z pewnością nie można ustalić granicy, jak długo można uprawiać czynnie sport. W dziejach kultury fizycznej były tysiące ludzi, którzy w dobrze zaawansowanym wieku bili na głowę młodzieniaszków.

Władysław Dobrowolski po pięciu latach startów w lekkiej atletyce, przerzucił się na szermierkę. W roku 1932 występował już na olimpiadzie w Los Angeles jako szablista. Miał wtedy lat 37. W roku 1936 walczył w szabli w Berlinie. Dyscyplinę tę uprawiał czynnie jeszcze po wojnie. Wycofał się najprawdopodobniej nie dlatego, że brakowało mu sił. Obowiązki zawodowe i rodzinne nie zostawiały mu czasu na treningi i starty. A może trochę mu się już nie chciało... Starzenie się sportowców, jest bowiem w dużej mierze zjawiskiem psychicznym, jak zresztą starzenie się w ogóle. Z tym zaś powinno się walczyć tak długo jak można.

(R. W.)

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — się mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante honorarium nie płacimy.

Zgodnie z obietnicą poczynioną w poprzednim odcinku naszej rubryki — kontynuujemy publikację celniejszych fragmentów poezji miłosnej, którą nas nieustannie raczą korespondenci. Szlachetna muza miłych autorów „pracuje" w obrębie nadzwyczaj szerokiej skali emocjonalnych doznań oraz empirycznych przeżyć. Oto nieledwie platoniczne wyznanie Pana T. S. z Bielawy:

I tylko z niewieścim głosem —
zza parkanu
tu flirtuje
Niewiasta której jest ten głos
o tym nie wie
A co to jest głos niewieści?
Jest to skarb
w tej chwili
i na wieki wieków
dla mnie
Mój drogi skarbie!
Mój kochany skarbie!

Pan G. C. W. z Hrubieszowa wyprowadza natomiast swoją erotyczno-liryczną kwestię z całkiem konkretnej, acz intymnej scenki, opatrując własne wyznanie dramatycznym, bo wątpiącym tytułem:

NAIWNOŚĆ?

Przed chwilą byłaś inna
Co ci się stało — powiedz
No nie bądź aż tak dziecinna
Nie jestem znów taki jasnowidz

Nie odrzekła nic — szła dalej
Ja za nią, jak cień jej
Odwraca i rzecze — kochany nie szalej
A wierzcie — nie mogę bez niej

Zgodziłem się z tym w milczeniu
Stanąłem na uboczu ulicy „Stołowa"
Słyszę ktoś wrzeszczy jej po imieniu
Widzę i oczom nie wierzę — kolega ją woła

Podszedł, cmoknął ją w rączkę białą
Pod majkiet ją bierze a mnie cholera
Niebo błękitne wnet posiniało
Wrażenie i widok — słowa odbiera.

Zwinąłem więc szybko swe żagle
I spływam ulicą aż w dół
Wpadam do chaty swej nagle
I beczę wlażąc pod stół

I wreszcie Pan „Piotr-uczeń" bilansuje dawne swe sercowe rozpacze w zgoła oryginalnej inwokacji do imienia swej byłej bogdanki:

Spotykam go wszędzie:
Wśród kwiatów
Usiadło i piosnkę mą przędzie,
Tuż za nim, jak w rzędzie,
Gro cudnych krawatów
Na szyjach nie brzytkich,
Półnagich kamratów!

W oczekiwaniu na koblece poetyckie demonstracje odwiecznego ludzkiego uczucia, z góry rozgrzeszamy nasze autorki z rozmaitych ortograficznych innowacji.

Zwierzenia intymne

PRZYZWOITKA

Waldemar Babinicz

MIREK zjawił się w mieszkaniu pani Ady zwabiony reklamą, jaką domowi tej uroczej pani przysporzył pewien bynajmniej nie tuzinkowy publicysta. Napisał on przed kilkoma laty, że pani Ada wytapetowała swoje dwupokojowe mieszkanko oryginalnymi hasłami, cytatami i pięknymi myślami mało znanych osób. Mirek, wówczas chłonny czytelnik i mający szeroko otwarte uszy student drugiego roku, zadzwonił do pani Ady, przedstawił się, poprosił o zezwolenie złożenia wizyty. Był przyjęty, jak wszyscy goście pani Ady, z wylewną serdecznością. Obejrzał dom, nie wypuszczając notesu i długopisu z ręki, wypił i zjadł w miarę swoich studenckich możliwości. Zapisał zdanie, które podobało mu się najbardziej: „Starajmy się uszlachetniać naszą młodość, nie pozbawiając jej uciech właściwych wiekowi". Postanowił tę maksymę sprzedać nazajutrz swoim kolegom i koleżankom z wydziału. Pożegnał szarmancko panią domu. Aliści w przedpokoju został zatrzymany przez jej córkę, Hanię z dziesiątej C. — Słuchaj — zaszeptała szybko — zdobyłeś z miejsca zaufanie mamy. Na pewno zgodzi się wysłać mnie pod twoją opieką do kina.

Mirek był w różowym humorze, a nadto w domu kobiety, która uchodzi w naszym mieście za oryginała. Więc się nie zdziwił. Przeciwnie, wrócił, znowu ukłonił się z galanterią. Powtórzył prośbę Hani. Pani Ada wyraziła zgodę. — Pod pańską opieką? Bez wahania. Proszę ją tylko odprowadzić natychmiast po seansie.

— Na jaki film chcesz iść, kochanie? — zapytał, gdy znaleźli się na ulicy. — Na żaden — brzmiała spokojna odpowiedź. — Zaprowadź mnie na ubaw do Iksów. Tam gra dzisiaj mój chłopak. Nie słyszałeś? Wicemistrz. Na trąbce.

Mirek nie słyszał, ale odprowadził partnerkę do Iksów. Sam się trochę pobawił i z uczuciem zranionej dumy męskiej przyglądał się spod oka Hani, która co pół godziny znikała w sąsiednim pokoju z wicemistrzem bez trąbki. Punktualnie o godzinie dziesiątej odprowadził partnerkę do domu.

Smutny jest los wszystkich przyzwoitek na świecie — pomyślał z melancholią, ale i nie bez dumy. Po raz pierwszy w życiu spełnił bezinteresownie dobry uczynek w stosunku do niebrzydkiej dziewczyny.

Po dwóch tygodniach został nagle, późnym wieczorem wezwany do telefonu.

— Mirek? Nie poznajesz? To ja, Hanka. Matka wyszła do sąsiadów. Słuchaj, przyjdź jutro. Koniecznie. — Czy znowu do kina? — zapytał zjadliwie. — Aha. — Nie wiem, czy będę miał czas. — No, no, tylko się nie wygłupiaj. Mama jest tobą zachwycona. Przyjdź przed szóstą. Pa. — Czekaj, wcale nie jestem pewien, czy... — Mama wraca. Pamiętaj. — Brzęk słuchawki. I cisza.

— Bezczelna mała — mruknął oburzony. Ale zaraz sam siebie zganił. — Cóż to? Zbrodnia, przestępstwo? Mamunia, acz dom upstrzyła liberalnymi hasłami, mocno trzyma w karbach córuchnę. Niechże się dziewczyna trochę rozerwie.

Poszedł. Wszystko odbyło się, jak poprzednio. Z tą różnicą, że Hania trochę się wahała, przebąkiwała o klasówce, o migrenie. Matka zniecierpliwiła się. — Z kim innym poleciałabyś w dyrdy, już ja ciebie znam. Ubieraj się. Pan Mirek to poważny człowiek. Z oczu mu patrzy. — Co, mamusiu? — Jak to co? Uczciwość. — Mirek z zakłopotaniem pogładził bródkę, którą zapuszczał bez powodzenia od kilku miesięcy. Sterczało to-to bez ładu i składu, groziło niebu, straszyło ludzi.

— Do Iksów? — ujął, jak każe moda, Hanię za rękę. — Właśnie, że nie. Do Zetów. — Wicemistrz koncertuje? — Przestań. Już nie jest wicemistrzem. Rozumiesz? Ta świnia, Dzidek, powiedział o nim, że nie ma słuchu. I w ogóle.

— To może nie pójdziemy? — O, przeciwnie. I proszę ciebie, Mireczku, mój złoty, mój kochany, powiedz im, że mój chłopak gra jak... jak kto? Jak Chopin. Nie rycz. Wszystko jedno. Oni ciebie posłuchają. Zrobiłeś na nich wrażenie. Mirek, nie bądź taki! Zrób to dla mnie.

Zrobił. Oklaskiwał tego nędznika, któremu przyprowadzał pannę, piał na jego cześć peany. Uwierzono mu. Student, bądź co bądź. Zna się na rzeczy. Bęcwałowi przywrócono tytuł wicemistrza. Hania była rozanielona i publicznie wyściskała... nie, nie Mirka. Tego z trąbką.

Minął rok. Hanka jest już w ostatniej klasie licealnej. Mirek zaliczył właśnie piąty semestr. Oboje uchodzą za fanatycznych wielbicieli filmu. Pani Ada jest oczarowana chłopcem. — Nigdy — rozumiecie państwo? — nigdy nie nadużył mego zaufania. Państwo wiedzą, jaka to dzisiaj młodzież. A ten nie. Bodaj tacy na kamieniu się rodzili. Takiego zięcia tylko we śnie można wymarzyć. Żeby w złą godzinę nie powiedzieć! Hanka grymasi, jeszcze jej pstro w głowie, naiwne to, niewinne, życia nie zna. Dajcie jej królewicza, Hamleta w dżinsach.

Mirek istotnie zachowuje się bez zarzutu. Może dlatego, że dziewczę jest rude i piegowate, a Mirek takich nie lubi. W Hrubieszowie mieszka dziewczyna, urocza, przemiła, usycha z tęsknoty i pisuje listy — poematy. Na każdej kopercie oprócz oryginalnych znaczków, wierszyki. Listonosz odpisuje je skrupulatnie, prawa autorskie nie są zastrzeżone, posyła je potem pewnej niebieskookiej szatynce. W ten sposób służy poezcie i muzom.

Spytacie: — wszystko to bardzo pięknie, dlaczego jednak ten pański Mirek nie zerwie z Hanką, dlaczego nie wyrąbie komu należy całej prawdy?

Nie może. Dziewczę jest nie tylko rude i piegowate. Jest jeszcze szantażystką. Zagroziła chłopakowi, że jeśli się ośmieli wyznać komukolwiek całą prawdę, ona Hanka natychmiast p r i m o: napisze list do Hrubieszowa i taką historyjkę rąbnie, że panna zjawi się tu w oczymgnieniu, s e c u n d o: powie matce, że ten cudowny chłopczyk oszukiwał wszystkich, m. in. i mamę i ją, Haneczkę, którą oprowadzał Bóg wie po jakich lokalach i jeszcze przy tym nastawał na jej cześć.

Kamena str. 10

Z książek nadesłanych

W rubryce „Z książek nadesłanych" Czytelnicy nie znajdą komentarza, a jedynie krótkie uwagi, które mogą zachęcić do przeczytania poszczególnych pozycji.

Adolf Gawalewicz — „Refleksje z poczekalni do gazu". Autor, doktor praw, przez trzy i pół roku przebywał w Oświęcimiu, a później w Bergen-Belsen. Książka stanowi rzeczową relację o ludziach i faktach. Gawalewicz snuje refleksje na temat problematyki moralnej dotyczącej czynów i postaw ludzkich. Język prosty, ale opisy wstrząsające. Np.: „Bardzo często odwiedzał nas esesman z psem... Ogromnie lubię psy i nawet, gdy znajdowałem się w grupie więźniów, która była bezpośrednio szczuta psami, nigdy nie usiłowałem uciekać. Do tresowanych esesmańskich psów nie mam żadnej pretensji. Pies rzucał się na muzułmana (tak nazywano więźniów całkowicie wycieńczonych), który wykazywał w ruchach zdenerwowanie, zdzierał z niego płat skóry, zwykle z pleców, gryzł i w zależności od otrzymanej tresury i dodatkowych poleceń znęcał się nad swoją ofiarą". (Wydawnictwo Literackie, nakład 8 000 egz., 183 str., 20 zł).

Julian Krelin — „Siedem dni tygodnia". Notatki chirurga. Opowiada on o najciekawszych przypadkach ze swojej praktyki lekarskiej, ukazuje dramatyczne losy ludzkie, gorzkie doświadczenia lekarzy w chwilach przegranej i radosny smak zwycięstwa w chwilach triumfu nad śmiercią. (Czytelnik, 8280 egz., 197 str., 11 zł, Tłum. z ros. Jerzy Pański).

Elżbieta Szemplińska-Sobolewska — „Notatki z podróży". Jest to wybór najlepszych wierszy z całego dorobku tej cenionej i popularnej w okresie międzywojennym poetki, autorki powieści i nowel. Oto wyjęty ze zbiorku wiersz pt. „Żaden ból": Żaden ból nie zapomniany, / każda śmierć na zawsze żywa, / i na wiosnę boli rana, / i jesienią się odzywa. / W sercu noszę cmentarzysko, / z umarłymi często gadam — / teraz wiesz dlaczego wszystko / dziwnie u mnie się układa... (Czytelnik, 1280 egz., 240 str., 30 zł).

„Literatura na rozdrożu". Artykuły, które złożyły się na tę książkę zostały zaczerpnięte z „Miesięcznika Literackiego", gdzie ukazywały się w ciągu dwóch lat między październikiem 1966 a wrześniem 1968 r. Łączy je próba przedstawienia i wytłumaczenia zjawisk, które zaważyły na klimacie sporów i starć ideowych w środowiskach literackich. Autorzy artykułów to: W. Maciąg, W. Sokorski, J. Putrament, A. Bukowska, J. Kossak, A. Lam, A. Wasilewski i J. Dziarnowska. (Wydawnictwo Literackie, 3500 egz., 175 str., 18 zł).

Jacques Borel — „Uwielbienie". Powieść nagrodzona w 1965 r. (Nagroda Goncourtów). Autor, idąc śladami Prousta, przedstawia wyimaginowany świat dziecka, opowiada o usiłowaniu samobójstwa w wieku chłopięcym, o długim związku z młodą kobietą-lekarzem, o pełnym udręki uczuciu do Anny. Opisuje naiwną miłość do Magdaleny, historię swojego małżeństwa, zawiłe stosunki pomiędzy matką i żoną, przede wszystkim zaś mówi o swojej pasji pisarskiej. (PIW, 20 000, II tomy, 45 zł, w prenumeracie — 36 zł).

Tadeusz Chróścielewski — „Szkarłatna godzina". Jest to powieść historyczna o młodzieży polskiej lat 1858—1863. Przedstawia ona proces stopniowego formowania się wśród gimnazjalistów piotrkowskich postaw patriotycznych i społecznych, które zaprowadzą ich na pole bitew powstania styczniowego. (Wydawnictwo Łódzkie, 6 000, 420 str., 23 zł).

Jean Sulivan — „Uprzedzając pożegnania". Autor jest laureatem Wielkiej Katolickiej Nagrody Literackiej (1964). (PAX, 5 000, 145 str., 12 zł).

Ponadto sygnalizujemy:

Bohdan Zadura — „W krajobrazie z amfor". Wiersze. (Czytelnik, 700, 100 str., 10 zł).

Stanisław Srokowski — „Strefa ciszy". Wiersze. (Czytelnik, 980, 99 str., 10 zł).

Kazimiera Iłłakowiczówna — „Liście i posągi". Wiersze. (Wyd. Poznańskie, 5 000, 82 str., 16 zł).

Stanisław Barańczak — „Korekta twarzy". Wiersze. (Wyd. Poznańskie, 550, 42 str., 8 zł).

Władysław Kisielewski — „Skrzydlate fatum". Proza. (Wyd. Lubelskie, 20 000, 255 str., 18 zł).

moje LEKTURY

Tomiki poetyckie PAX-u

WYDAWNICTWO PAX należy do wytrwałych mecenasów poezji współczesnej. Nakładem tej firmy ukazuje się co roku sporo nowych tomików, w tym także dużo debiutów. Ostatnia seria *) wydawnictw poetyckich PAX-u ukazała się w wyjątkowo pięknej szacie graficznej, jakiej życzyć by należało innym tego typu publikacjom. Przyjrzyjmy się, co nowego pozycje te przynoszą.

Zbigniew Dolecki jest poetą doświadczonym, ma już w swoim dorobku kilka zbiorów wierszy. Jak się okazuje, niewiele z tego wynika. Można by od autora wymagać już objawów dojrzewania i krystalizowania swojej indywidualności, ale do tego jeszcze daleko. Toteż u Doleckiego rozwój jest pozorny, czysto ilościowy, ostatnie jego wiersze nic nie mówią o zdobywaniu nowych terenów. Autor nie idzie naprzód ani wzwyż, porusza się po linii zamkniętego koła. Wskazywano kiedyś na stylizatorski charakter twórczości Doleckiego. Rzeczywiście, ta jej cecha, od *Spotkania z Lemuelem* po *Dionizję* pozostała. Dolecki chce wiele mówić o współczesności, o człowieku, ale to wszystko przypomina raczej szkice do artykułów niż teksty poetyckie. Wierszowana proza — takie odnosi się wrażenie; zdobienie zaś wierszy słownictwem, wziętym z antyku czy języka nauki, dodaje im pretensjonalności. Na tym tle przyjemniej wyglądają uproszczone pejzaże (części IV, VII, XIII), ale jakże mało tych jasnych plam na tle szarości.

Tomik Stanisława Cieślaka stanowi interesującą, bo niespodziewaną próbę współczesnego poematu religijnego. Poszczególne jego części mają budowę psalmiczną, a więc odwołują się do wzorów bardzo zabowiązujących. W utworach Cieślaka wyczuwamy formę i nastrój psalmów, jakże jednak inny jest psalmista! W jego postawie ujawniają się niemal wszystkie występujące dzisiaj stanowiska wobec Boga — od uwielbienia i pokornego poddania się, poprzez wątpienie do zaprzeczenia jego istnienia.

Wiersze tę są aktem wielkiej odwagi, ponieważ tradycja wadzenia się z Bogiem jest w poezji stara i wymaga nie byle jakich umiejętności poetyckich i intelektualnych. Natomiast u Cieślaka spotykamy sporo płycizny myślowej, trochę pretensjonalności („Mój znajomy Horacy ile ma słuszności,/ kiedy rzecze, że non omnis moriar") i powierzchownej retoryki. A poezja tego rodzaju, oparta na dyskursie, rozmowie, pytaniach i rozmyślaniach, a więc na bezpośrednim formułowaniu myśli — musi legitymować się odkrywczością myślową oraz indywidualną interpretacją tematu. Pamiętajmy jednak, że to jest debiut, początek drogi. I chociaż skala ambicji nie jest na razie współmierna ze skalą talentu, to sam zamiar poetycki wystawia autorowi niezłe świadectwo. A przecież tu i ówdzie są także ciekawe fragmenty i z poetyckiego punktu widzenia. Tymczasem trzeba solidaryzować się ze słowami autora z końcowego fragmentu poematu:

I tak szukając spocząłem zmęczony
Chociaż po drodze tyle zostało zgubione.

Elżbieta Cichla-Czarniawska przed dziesięciu laty drukowała w prasie lubelskiej swoje pierwsze utwory, obecnie zaś wydała drugi z kolei tom wierszy. Jej zbiór, którym zadebiutowała, zawierał garść takich utworów jak *Gliniane ptaki*, *Zgoda na przyjście* czy *Oświęcim 1965*, które stanowiły dobrą wróżbę na przyszłość. *Wielkie małe głody* są tego potwierdzeniem. Znać tu wyraźny postęp, choćby w zwiększeniu się liczby utworów dobrych, widać dojrzewanie autorki i wzrastanie wymagań wobec siebie. Nie doszło jednak jeszcze do określenia swojej indywidualności, nie wyjawiła do tej pory tego, co ją wyróżnia od innych poetów. W tej chwili Cichla-Czarniawska przyswoiła sobie przyjęte sposoby wypowiedzi poetyckiej, które można sprowadzić do dwu źródeł inspiracji: krakowskiej awangardy i poetyki Różewicza. Obie są już dosyć wysłużone, zwłaszcza trudno iść drogą odkrytą przez autora *Niepokoju*.

U autorki *Wielkich małych głodów* najciekawsze wiersze, takie jak *Ostatni dzień lata*, *Powroty* czy *Epitafium na śmierć drzew*, wyrosły właśnie z poetyki awangardowej: metafora jest w nich nie tylko najważniejszym składnikiem języka poetyckiego, ale narzędziem przekształcania rzeczywistości i ustalania nowych stosunków między elementami świata. Myślę o wypowiedziach w rodzaju:

w dziupiach mroku
pohukuje czas

Najcenniejszy w *Wielkich małych głodach* jest wyrażający się tam zarys „biografii" poetyckiej. Tom ten stanowi rodzaj lirycznego pamiętnika, w którym kształt artystyczny stanowi rzecz pochodną a nie zasadniczą. W rytmie tych wierszy wyrażają się prawdziwie ludzkie sprawy, kształtuje się indywidualny los. Są tam refleksje nad życiem i światem, mówi się o nadziejach i zawodach, o pragnieniach i spełnieniach, które czasem przybierają niespodziewany obrót:

wzeszło deszczem
chociaż siałam pogodę

Wynikiem takiej postawy jest postawienie życia nad sztuką, biologii nad kulturą:

może
liryka nie jest niezastąpiona (...)
niezastąpione są gniazda rąk
gdy w nich ciepło jak pisklę
niezastąpione są ścieżki tętnic
gdy w nich życie

Pośród tych kilku zbiorów *Jawor* Mieczysława Stanclika jest najwybitniejszy i bardzo dojrzały. Stanclik od początku zwrócił na siebie uwagę jako poeta utalentowany i niewątpliwy. Nowy tom daje sporo wierszy dużej urody poetyckiej i siły ekspresyjnej, niektóre z nich czyta się po kilka razy dla wielkiej radości obcowania z prawdziwą poezją. Poeta pokazał szeroką skalę możliwości — od klasycyzujących oktostychów (o tym rodzaju wiersza pisał niedawno interesująco jego twórca, Jarosław Iwaszkiewicz) po impresje i notatki liryczne. Jego poezja obrócona jest na wszystkie strony świata, wchłania jego uroki, poza tym wychylona jest w przyszłość i zakorzeniona w przeszłości. Jest w niej coś z lotności romantyków czy symbolistów i konkretności Grochowiaka. Kiedy bowiem zachodzi potrzeba, Stanclik daje precyzyjną, w kategoriach poetyckich wyrażoną, definicję rzeczy. Czasem, zwłaszcza w utworach z lekkim nalotem stylizacji, pojawia się żart poetycki, związany często z grą słów i dźwięków. Gdyby szukać dalszych określeń tej poezji, można by o niej powiedzieć, że jest przestrzenna, wyczulona na proporcje odległości i układ kierunków. Gdyby ktoś badał cechy wertykalne i horyzontalne poezji, znalazłby w *Jaworze* wdzięczny materiał.

Na koniec parę jeszcze słów o zbiorowym tomie *Łódzka wiosna poetów 1968*. Była to Wiosna jubileuszowa, o dziesięcioletniej już tradycji. Dorobek „Wiosen" podsumował w przedmowie Zygmunt Lichniak, wymieniając mnóstwo nazwisk nagrodzonych i wyróżnionych. Radość z tego bogactwa mąci fakt, że wiele nazwisk należy do „poetów konkursowch", którzy obsługują nieustanny korowód konkursów poetyckich ostatnich lat. W wyborze wierszy z ostatniej „Wiosny", dokonanym przez Andrzeja Piotrowskiego, znajdują się wiersze osiemnastu poetów, z tego ogromna większość tych nazwisk nic jeszcze nie mówi. Przedstawione wiersze są raczej śladami lektur i mód poetyckich, które zresztą w tak nieznośnej, pseudożartobliwej manierze wymienia Z. Lichniak. Ale są i znamiona dobrych zapowiedzi, zwłaszcza w wierszach F. Bratańca, T. Olszewskiego i R. Glutha.

Tadeusz Kłak

* Zbigniew Dolecki: Dionizja. Warszawa 1968. PAX.
Stanisław Cieślak. Homofanie. Warszawa 1968. PAX.
Elżbieta Cichla-Czarniawska: Wielkie małe głody. Warszawa 1968. PAX.
Mieczysław Stanclik: Jawor. Warszawa 1968. PAX.
Łódzka Wiosna Poetów 1968. Warszawa 1968. PAX.

Jubileuszowy tom „Rocznika Lubelskiego"

XZJAZD Historyków Polskich, który ma się odbyć w Lublinie we wrześniu 1969 r., stał się niewątpliwie dużym bodźcem do intensywnej działalności twórczej lubelskiego historycznego środowiska naukowego. Pragnąc zaprezentować swój dorobek naukowy uczestnikom zjazdu, wydało ono dwa obszerne tomy studiów, szkiców i rozpraw: „Polskę w Europie", zbiór studiów historycznych pod redakcją prof. dr Henryka Zinsa, omawianą już na łamach „Sztandaru Ludu" i „Kameny", oraz X tom „Rocznika Lubelskiego", który w ostatnich dniach ukazał się na półkach księgarskich.

X tom „Rocznika Lubelskiego", a więc w pewnym sensie jubileuszowy, prezentuje się niezwykle interesująco. Zawiera 18 rozpraw pióra historyków lubelskich, poświęconych nie tylko tematyce regionalnej, lecz także ogólnopolskiej i powszechnej.

Serię artykułów otwierają rozprawy badaczy historii starożytnej dr Tadeusza Łoposzko i kierownika Katedry Historii Starożytnej UMCS, doc. dr Romana Kamienika. Pierwszy zajmuje się problemem głodu w Rzymie w 57 roku przed naszą erą, a drugi zagadnieniem własności w pismach Salwiana z Marsylii.

Archeolog dr Jan Gurba zastanawia się, czy rzeczywiście — jak twierdzi profesor Instytutu Archeologicznego Uniwersytetu w Londynie, T. Sulimirski — Wyżyna Lubelska w III—IV wieku była peryferiami państwa Dulebów.

Znany mediewista, prezes Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego redaktor naczelny „Rocznika Lubelskiego", prof. dr Kazimierz Myśliński zajął się zagadnieniem niezwykle ważkim w aktualnej historiografii średniowiecza. W rozprawie „Słowiańska Brenna-Brandenburg i jej przejście pod rządy margrabiów w połowie XII wieku" podjął dyskusję z tezami historiografii zachodnioniemieckiej, zwłaszcza z poglądami docenta uniwersytetu w Giessen, Hansa Dietricha Kahla o niedostosowaniu organizacji społecznych i politycznych Słowian połabskich do ogólnego rozwoju wczesnośredniowiecznej Europy. Zdaniem historyków zachodnioniemieckich taka sytuacja umożliwiła wchłonięcie tych terenów przez państwo niemieckie. Na konkretnym przykładzie państwa Stodoran, którego stołecznym punktem był gród w Brennie (późniejszy Brandenburg), prof. Myśliński pokazuje, że państwo stodorańskie już od końca X wieku znajdowało się w ciągłym rozwoju gospodarczym i społecznym, charakterystycznym dla kształtujących się stosunków wczesnofeudalnych. Takich samych, jakich obrazem były Niemcy, Polska i Czechy. A zatem państwo to posiadało warunki dla dalszej niezależnej egzystencji i rozwoju.

Kolejne dwie rozprawy roztrząsają także zagadnienia związane z historią średniowiecza. Dr Józef Szymański szuka przyczyn, nakazujących pisarzom średniowiecznym, zwłaszcza historykom, konstruować odległe i dostojne metryki dynastiom, państwom i plemionom, natomiast dr Czesław Deptuła zajmuje się rolą klasztoru kanonickiego w rozwoju Kazimierza w okresie przedlokacyjnym.

Badacz i znawca historii Anglii XVI wieku, kierownik Katedry Historii Powszechnej UMCS, prof. dr Henryk Zins ukazał zależność angielskiego budownictwa okrętowego w okresie elżbietańskim od bałtyckiej bazy surowcowej, w pierwszym rzędzie od bogactw leśnych Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Wartościowy jest artykuł dr Stefana Wojciechowskiego o zasiedleniu szlacheckim w województwie lubelskim w drugiej połowie XVI wieku.

Zagadnieniem ruchu kalwińskiego w Małopolsce zajął się doc. dr Stanisław Tworek. Dzięki potoczystemu stylowi artykuł doc. Tworka jest nie tylko wielką przygodą poznawczą, lecz i ucztą artystyczną.

Niezwykle ważny problem poruszył w swym szkicu doc. dr Ryszard Orłowski. Zajął się on zagadnieniem materialnego poparcia powstania kościuszkowskiego w Lubelskiem, a ściślej — na terenach wchodzących w skład Ordynacji Zamojskiej. Prezentowany przez autora problem zasługuje na uwagę również dlatego, iż ujawnia stanowisko właściciela i kierownika dóbr wielkiej własności ziemskiej wobec insurekcji kościuszkowskiej.

Wybitny znawca epoki napoleońskiej, kierownik Katedry Historii Powszechnej Nowożytnej UMCS, prof. dr Juliusz Willaume swą rozprawę poświęcił problemowi apologii polityki zagranicznej Napoleona we francuskiej historiografii. Artykuł prof. Willaume, obok walorów treściowych, urzeka pięknym, pełnym rozmachu stylem.

Problemy szkolnictwa i wychowania stały się przedmiotem rozważań znanego i cenionego badacza historii oświaty, prof. dr Jana Dobrzańskiego i adiunkta UMCS, dr Wiesława Sładkowskiego. Pierwszy zajmuje się losami szkolnictwa średniego w Zachodniej Galicji, a drugi stanowiskiem władz carskich wobec szkolnictwa kantoralnego w południowo-wschodniej Kongresówce.

Inny fragment tego samego okresu naszych dziejów jest przedmiotem analizy historyków prawa. Wybitny znawca historii miast polskich XVIII i XIX wieku, prof. dr Józef Mazurkiewicz pisze o likwidacji ustroju miejskiego mniejszych miast w Księstwie Warszawskim i Królestwie Polskim, natomiast doc. dr Władysław Cwik omówił stan gospodarczo-społeczny miast rządowych w małopolskiej części Królestwa Polskiego.

Badacz zagadnień gospodarczo-społecznych i politycznych Lubelszczyzny przełomu XIX i XX wieku, sekretarz redakcji „Rocznika Lubelskiego", dr Albin Koprukowniak w swym bogato uargumentowanym materiałami źródłowymi artykule ukazał stanowisko społeczeństwa Lubelszczyzny wobec wyborów do II Dumy Państwowej.

Okresowi „Polski Lubelskiej" poświęcili swe rozprawy mgr Wsiewołod Wołczew i kierownik Katedry Historii Najnowszej UMCS, doc. dr Stanisław Krzykała, który swymi dotychczasowymi pracami walnie przyczynił się do poznania najnowszych dziejów Lubelszczyzny. Mgr Wołczew omówił zmiany w układzie sił politycznych na Lubelszczyźnie w okresie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, natomiast doc. Krzykała ukazał rolę Polskiej Partii Robotniczej w walce o utworzenie i utrwalenie władzy ludowej.

Dział kronik, gdzie m.in. znalazło się sprawozdanie z działalności Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, którego „Rocznik Lubelski" jest organem, zamyka ten niezwykle interesujący tom.

Sumując trzeba stwierdzić, że X tom „Rocznika Lubelskiego", pełen głębokich rozważań, bystrych obserwacji, trafnych i obiektywnych sądów, świadczy o prężności naukowej lubelskiego środowiska historycznego. Pozostaje jedynie życzyć, by dalsze tomy były w równym stopniu udane.

Adam Andrzej Witusik

„Rocznik Lubelski", t. X, Lublin 1968, s. 350.

Owszem, zgadzam się. Powinien był na samym początku zdemaskować panienkę. Ba, łatwo powiedzieć! Trochę go śmieszyła ta rudowłosa dziewczyna, trochę był ciekaw dalszego ciągu. Poza tym nauczył się u pani Ady pięknej sentencji o niepozbawianiu uciech właściwych wiekowi młodych. Zresztą jest się tym mężczyzną. Tak czy nie?

Wolno sądzić, że w końcu sprawa znalazłaby właściwy epilog. Dydaktyczny. Hania spostrzegłaby własny błąd i wycofała na „uprzednio zajmowane pozycje". Ale w życiu jest inaczej. W życiu plącze się tu i ówdzie wicemistrz, który pewnego dnia doszedł do wniosku, że los mu spłatał figla. — Niech mi tylko dadzą saksofon, prawdziwy, srebrny saksofon, wówczas pokażę, co potrafię. Znam siebie. — Tak powiedział na prywatce przed trzema miesiącami. I spojrzał wymownie na Hanię.

I oto sprawa przyjęła zgoła inny obrót. Wcale nie banalny. Hania nie poszła do domu, nie wykradła mamie bezcennej pamiątki rodzinnej, owych słynnych kolczyków po prababce. Tak znowu nisko nie upadła i nie jest aż tak naiwna, aby miała podcinać korzenie drzewa, na którym siedzi. Kolczyki tak czy owak przejdą w jej posiadanie. Mama po raz drugi za mąż nie wyjdzie. Córa — jedynaczka nie dopuści.

Srebrny saksofon? A toż ciotka Lucynka chowa go od dwóch lat. Pamiątka po tragicznie zmarłym synku. Ciotka od roku nie wstaje z łóżka. Kto wie? Może nawet nie pamięta? Tyle rupieci w składziku.

— Miruś! Taki byłeś dla mnie dobry. Jeszcze tylko to jedno. Posiedzisz przy ciotce, a już resztę załatwię...

Jeszcze nie zdążyła zatrzasnąć walizki — dzwonek. Mirek sam skoczył otworzyć. Pani Ada. Wprowadził ją do pokoju, usadowił na kozetce, sam stanął pod oknem. — Łaskawa pani — zaczął patetycznie — to ja telefonowałem. Przepraszam, że podałem zmyślone nazwisko. Chciałem, aby pani wreszcie dowiedziała się prawdy o swoim szatanie, o tej przewrotnej, do cna zepsutej...

— Słuchaj dobrze, mamusiu, słuchajcie obie — odezwała się spokojnie Hania, która właśnie weszła do pokoju — to jeszcze nic, to dopiero początek. Za chwilę posypią się epitety. Uszy spuchną. A ja muszę to znosić. Od roku.

Pani Ada zerwała się z kozetki.

— Musisz? Ależ dlaczego, córuchno? Dlaczego?

— Dlatego, że nie chcę pozbawiać ciebie złudzeń. Jesteś tak łatwowierna, mamo, tak ufasz ludziom...

Trzy panie szybko uporały się z jednym studencikiem. — Żeby pańska noga, nigdy, przenigdy... Słyszy?

Skąd znam tę historię? Mirek mi ją opowiedział. Tak bardzo byłem przejęty, że nie zdążyłem nawet wykrztusić swego: „A widzisz, nie mówiłem?"

Listy do KAMENY

NIKT NIE PROTESTOWAŁ!

Wiecie, co mi się najbardziej podobało w ciągu dwóch pierwszych tygodni lubelskiego „Festiwalu powstań"? Występ zespołu ludowego z Wojciechowa. Ale nie o samą inscenizację wesela wojciechowskiego mi chodzi, nie o urok tancerek czy werwę tancerzy. Gwoździem było to, że tancerki porwały w tany przewodniczącego Prezydium WRN, sekretarza KW i dyrektora DOKP. I jeszcze bardziej podobało mi się to, że żaden z nich nie protestował, a ochoczo poszedł w tany, co wywołało na sali prawdziwą — a nie sprawozdawczą — burzę oklasków.

Oczywiście nie każda impreza o charakterze kulturalnym nadaje się do takiego zakończenia. Ale czy na zbyt wielu imprezach nie panuje u nas sztywność, przestrzeganie protokółu, dystans? Jak pokazuje festiwalowe doświadczenie, to nie zawsze przedstawiciele władz dbają o ten dystans. Odwrotnie — im to chyba przeszkadza w poznaniu ludzi, ich spraw, a chociażby w zwykłej zabawie, do której też mają prawo. To organizatorzy tworzą najczęściej ową sztywniacką atmosferę.

Oby więcej takich bezpośrednich wydarzeń!

Jan Kulikowski
Lublin

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-22, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-28

Korespondencję zwykłą prosimy kierować na adres: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — na adres redakcji.

Zam. 712 26.II.69 F-4

REDAGUJCIE Z NAMI!

OSTATNIA strona jest stroną specyficzną, czytelnicy przyzwyczajają lekturę pisma od jają się do stałych pozycji i zwykle zaczykońca numeru. Świadczą o tym chociażby listy, które nadchodzą do redakcji. Chcielibyśmy, aby tych listów było jak najwięcej, bo one przecież najlepiej mówią, z jakim oddźwiękiem spotykają się nasze materiały. Listy stanowią też dużą pomoc przy redagowaniu poszczególnych numerów. Wiemy, co się podoba, a co nie, co i dlaczego budzi sprzeciwy.

Najwięcej kontrowersji sprawiają utwory poetyckie zamieszczane w „Kamenie" (i nie tylko w „Kamenie"). Sądy są różne. Niektórzy czytelnicy zarzucają nam, że drukujemy za wiele wierszy, inni znów, że za mało. Są tacy, którzy twierdzą, że sito redakcyjne powinno być gęstsze, że pewnych utworów nie można zrozumieć. Z kolei przychodzą listy, w których Szanowni Autorzy powołują się na autorytety ojców, ciotek, nauczycieli, ba — nawet przedstawicieli władz(!) i proszą — to ze słowo — domagają się drukowania swoich prac literackich(?). Bardzo często znajdujemy zdania w rodzaju: „W razie niewykorzystania (lub nawet... niewykożystania) materiału proszę o zwrot... „A przecież w każdym numerze informujemy (w stopce na stronie II) że redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów! Po prostu nie jesteśmy w stanie!

Być może, że za mało bezpośrednio rozmawiamy z naszymi czytelnikami. Osobiste kontakty, jak uczy doświadczenie są najlepsze. Niestety, nie zawsze inicjatywa wychodząca ze strony redakcji spotyka się z oddźwiękiem.

W drugiej połowie stycznia br. wysłaliśmy listy do dwunastu szkół lubelskich stopnia licealnego na ręce „pp. profesorów języka polskiego". Prosiliśmy o opinię na temat naszego nowego cyklu pt. „Powtórka z polskiego" przeznaczonego w zasadzie dla uczniów klas dziesiątych i jedenastych. Chodziło nam o uzyskanie odpowiedzi, czy ten cykl zainteresował młodzież, czy stanowi pewną pomoc w nauce języka polskiego. Jednocześnie wyraziliśmy gotowość spotkania się z młodzieżą i podaliśmy numer telefonu i godziny, w których można się z nami skontaktować.

Na dwanaście listów nie otrzymaliśmy ANI JEDNEJ, dosłownie ani jednej odpowiedzi! Tak trudno skreślić kilka słów? Tak trudno podnieść słuchawkę telefoniczną?

Szanujemy pracę nauczycielską. Wiemy, ile trudności mają nasi pedagodzy, chociaż z drugiej strony wiemy również dobrze, że wielu spośród nich bardzo niechętnie przyjmuje jakąkolwiek krytykę uważając, że to podrywa ich autorytet wśród młodzieży. Może też dlatego nie piszemy o sprawach, które mogą boleć. Wystarczy pójść na egzaminy wstępne na wyższe uczelnie. Uczniowie, którzy mają czwórki i piątki z polskiego, niejednokrotnie nie wiedzą, jaka jest budowa sonetu, autorstwo „Placówki" przypisują Żeromskiemu, Asnyka mylą z Kasprowiczem. Można obarczyć winą programy, można znaleźć tysiące przyczyn obiektywnych. Chętnie wydrukujemy najbardziej nawet złośliwy list któregoś z polonistów, który zechce z nami polemizować. Ale niech taki list nadejdzie! Dyskusja, w której uwidocznią się krańcowe sądy, może tylko oczyścić atmosferę daleką dziś od ideału. Bardzo chętnie też zapoznamy się z opinią samych uczniów zachowując (przy ewent. publikacji) pełną anonimowość wypowiedzi, oczywiście jeśli autorzy będą o to prosić.

Kolegium redakcyjne „Kameny" nie chcąc nic tracić z dotychczasowego dorobku pisma, pragnęłoby jeszcze bardziej związać „Kamenę" z terenem. Piszcie do nas jak najczęściej. Do rubryki „Od Biebrzy po Bieszczady" stale potrzebne są krótkie, interesujące informacje. Najciekawsza informacja miesiąca (do 10 linijek maszynopisu!) będzie premiowana (100 zł). Ogłaszamy też nieustający konkurs na fotografię miesiąca — na najlepsze zdjęcie typu reporterskiego. Mogą w nim uczestniczyć wszyscy (poza dotychczasowymi współpracownikami), którzy zajmują się amatorską fotografią. Zdjęcie powinno mieć format przynajmniej pocztówkowy i być na tyle kontrastowe, aby nadawało się do reprodukcji (papier błyszczący!). Na ten cel również przeznaczamy 100 zł miesięcznie. Niezależnie od tego każde zamieszczone zdjęcie będziemy honorować według normalnych stawek.

Jednocześnie otwieramy kącik propozycji. Proponujcie tematy, którymi — waszym zdaniem — mógłby się zająć publicysta czy reporter „Kameny". Tematem może być człowiek, fabryka, wieś, czyjeś ulepszenie techniczne, bolesna sprawa... Wasz sygnał może stanowić dobry trop, którym pójdzie dziennikarz.

Na 25-lecie „Kameny" rzuciliśmy hasło: REDAGUJCIE Z NAMI „KAMENĘ". Hasło to z całą mocą podtrzymujemy, bo pismo jest NASZE, WSPÓLNE!

MAJ

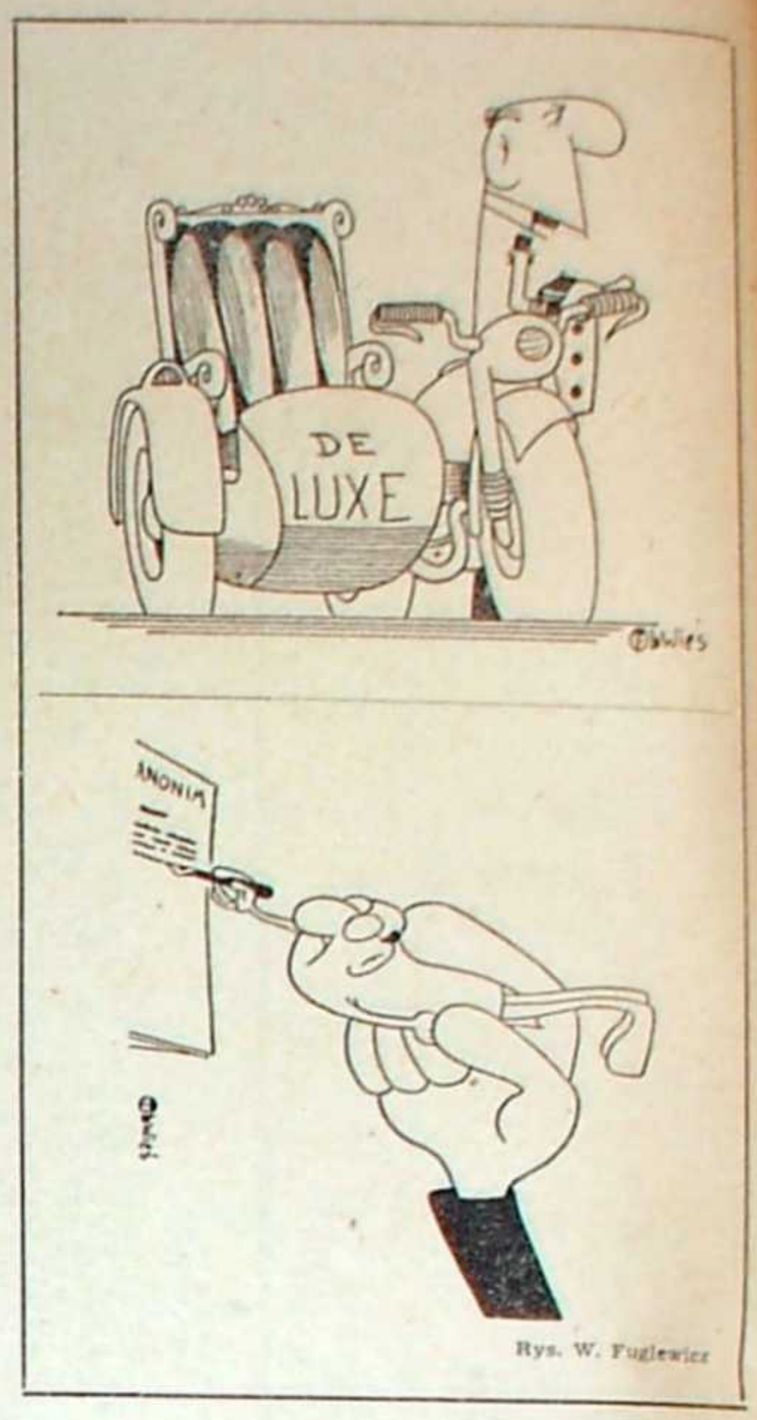

Rys. W. Fuglewicz

MINUTA MYŚLENIA

Uprzejmie proszę

W MIEJSKIEJ komunikacji Lublina skasowano funkcję konduktora. Zastępuje go automat — kasownik wydający odgłos roszarni lnu i konopi. Nie automat jednakże po tej innowacji zasługuje na uwagę. Zasługuje publiczność. Od kiedy zmieniono przeznaczenie drzwi, od kiedy ma się wsiadać środkowymi, a wysiadać tylnymi, nikt nie przestrzega tego przepisu. Nawet wtedy, kiedy prawidłowe wsiądnięcie i wysiądnięcie nie nastręcza trudności, to znaczy, kiedy ani w trolejbusie ani na przystanku nie ma zbyt wielu osób.

Trudno znaleźć przyczynę tego postępowania, jeśli nie ma być nią bezmyślność. Przecież nawet nie anarchia, bo w tym wypadku nie ma wobec kogo jej manifestować. Bezmyślność wykazująca skutki niekorzystne dla samych pasażerów, ponieważ wytwarza nieporządek nawet wtedy, kiedy go można łatwo uniknąć. Kiedy wchodziło się tyłem, nie było tego rodzaju rozbieżności. Dlaczego? Dlatego, że tylko przy tylnych dzwiach można było kupić bilet, a przejazd „na gapę" kosztował 100 zł. Dzisiaj z każdego miejsca można wystartować do kasownika i przez to wołowymi literami wypisane „WEJŚCIE" i „WYJŚCIE" nikogo nie zobowiązuje. A może by tak od czasu do czasu przeprowadzić kontrolę i sypnąć mandacikami za nieprzestrzeganie tego bądź co bądź elementarnego przepisu miejskiej komunikacji?

Inna rzecz, że również personelowi obsługującemu należy się kilka cierpkich słów. Proszę bowiem wyobrazić sobie sytuację następującą: Kierowca trolejbusu urządził sobie postój na końcowym przystanku „do wysiadania", skutkiem czego pasażerowie wsiedli w tym miejscu (czego robić nie wolno). Ktoś z pasażerów nie chcąc być sprawcą łamania przepisów czekał cierpliwie w miejscu „do wsiadania", ale... w tym miejscu trolejbus w ogóle się nie zatrzymał. Pasażer sądziwszy, że kierowca nie zauważył, podbiegł i dał sygnał ręką za pomocą kilkunastokrotnego uderzenia w drzwi. Niestety, bez rezultatu, ponieważ kierowca uznał za słuszne nie zatrzymywać się w czasie jazdy dla jednego pasażera, nie pomnąc, że ten jeden właśnie zachował się w tej sytuacji jak należy. Pasażer nie dał za wygraną. Wsiadł w taksówkę, wyprzedził trolejbus na tyle, że mógł do niego wsiąść i będąc pewny swej racji zwrócił się z pretensjami do szofera. W odpowiedzi na co usłyszał: „Niech pan nic nie mówi, bo pana wyrzucę". Ładne?

Albo kolejka przy ladzie Stoisz sobie człowieku i czekasz cierpliwie na zakup. Tymczasem pojawia się daniusia, która tu rzuci okiem, tam spyta o jakąś pietruszkę i już przystępuje do zakupu przed tobą, a na twoją nieśmiałą uwagę o kolejce usłyszysz, że jesteś źle wychowany. To samo z wybieraniem towaru. Owszem, każdy ma prawo nie kupić tego, co mu nie odpowiada, ale dajmy na to, że sprzedaje się mrożone pomidory, które to mrożenie dość źle znoszą. Każdy czeka na możność dokonania tego wyboru, ale wtedy, kiedy będzie obsługiwany. Niestety, znów zjawia się pani, która w kolejce może być kilkanaście osób za tobą, ale już wybrała sobie to, co jej odpowiada, czyli w praktyce przyszedłszy od niej znacznie wcześniej, jesteś skazany na gorszy wybór. Z tym, że tu jak i tam jakiekolwiek próby perswazji palą na panewce.

Drobiazgi? Drobiazgi. I można by o nich nie wspominać, gdyby w nich — nawet w tym niewielkim wymiarze — nie wyrażała się kultura współżycia społecznego. Narzekamy, że przejawy chuligaństwa nie spotykają się ze społeczną odprawą. Również i w wyżej opisanych wypadkach darmo byś się powoływał na opinię społeczną, bo jej nie ma. A jeśli — to na odwrót: pasażerowie staną po stronie szofera, bo w psychice przeciętnego obywatela prawem kaduka utrwaliło się przekonanie, że jeśli wsiadł do trolejbusu, to z łaski szofera, jeśli coś kupił w sklepie, to z łaski sprzedawczyni, jeśli dostał się na interesujący film, to z łaski kasjerki.

Uprzejmie proszę redakcyjnego gońca o zaniesienie tego felietonu do drukarni.

Ijon

BIG-BEAT

Wiedzą sąsiedzi...

PANIE Redaktorze! Poprzednio pisałem do Pana, gdy męczyła mnie grypa. Teraz męczy mnie dziecko sąsiadki, które za ścianą wygrywa na pianinie. Diabelnie akustyczne są te nowe mieszkania. Zakupywanie do nich instrumentów muzycznych powinno być sądownie zakazane! Z drugiej strony znane przysłowie „Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi" pasuje jak ulał do nowego budownictwa. Nie znam osobiście sąsiadów, z góry, z dołu, zza ściany tylnej i przedniej, ale mógłbym o nich wiele powiedzieć. Wiem, kiedy sąsiad z góry wrócił do domu pod dobrą muchą i zamiast grzecznie ułożyć się do snu zaczął budzić dziateczki i małżonkę. Dziateczki urządziły piękny koncert, przy którym big-beat wydawał się śpiewem słowiczym. Czuły tatuś uspokajał swoje pociechy, a czułego tatusia uspokajała małżonka. W sumie było to nawet interesujące. Niestety, tatuś lekko bełkotał i nie powiększyłem znajomości polskiej liciny. Dziatki może więcej rozumiały, bo wczoraj na schodach usłyszałem rozmowę pięcioletnich brzdąców: „Jak ci, kulwa, psipiepsie to cie chojeja wieźmie..."

Za ścianą bardzo rozmowna jest pani domu. Ciągle grozi, że swoją dwuletnią pociechę zamorduje („Utłukę cię, zabiję jak psa, powieszę"). Mężowi zaś mówi: „Zobaczysz, że cię któregoś dnia otruję". Pan domu może uchodzić za wzór cnoty i spokoju. Pracuje i studiuje zaocznie. Rozlicza się solidnie z każdego grosza. Spróbowałby inaczej! Kiedyś przez cały wieczór słuchałem tłumaczenia, na co wydał 100 złotych, które otrzymał przed tygodniem. Tłumaczenie nie trafiło najwidoczniej do przekonania szanownej małżonki, która zapowiedziała, że pewnego pięknego dnia weźmie dziecko i pójdzie do matki. Jak dotąd obietnicy nie spełniła. Dyskusje rodzinne trwają nadal. Niestety, są one bardzo monotonne.

Najspokojniej upływa życie u sąsiadów na dole. Zaczyna mnie to trochę niepokoić. Czyżby rozkład małżeński był aż tak daleko posunięty, że obie strony nie mogą znaleźć tematu do kłótni? Kilka dni temu widziałem, jak pan domu niósł bukiet kwiatów, a przecież tego wydarzenia nie poprzedziła żadna ostra wymiana zdań. Tajemnica wyjaśniła się wieczorem. Śpiewano „Czerwone maki", „Góralu czy ci nie żal", no i naturalnie kilkakrotnie „Sto lat". Z repertuaru Niemna (Niemena) nie usłyszałem niczego. Specjalnie mnie to nie dziwiło, jako że sąsiedzi z dołu należą do pokolenia Putramenta. Może więc niepotrzebnie zamartwiam się tym rozwodem?

Czasami wieczorem na klatce schodowej słyszę uporczywe pukanie. Potem pukanie przechodzi w łomot. Trzęsą się mury, z troską patrzę, czy ściany wytrzymają. Wszystko to trwa kwadrans, a najwyższej pół godziny. Wreszcie sezam się otwiera, kobiecy głos zapowiada: „Jeśli jeszcze raz wrócisz tak późno do domu..." Dalsze słowa już nie docierają do moich uszu. Spoglądam na zegarek. Dwudziesta druga z minutami, można powiedzieć wczesne popołudnie!

Dręczy mnie jeszcze pytanie: dlaczego małżonek nie miał klucza? Później dowiaduję się, że miał. W drzwiach są jednak dwa zamki. Drugiego nie mógł otworzyć, bo z wewnętrznej strony tkwił klucz. Też metoda, ale dlaczego ma cierpieć cała kamienica?

A propos klucza. Na jednych drzwiach zobaczyłem kartkę z dziecinnym charakterem pisma: „Babciu, klucz jest pod słomianką". Ścisła informacja dla potencjalnego złodzieja.

Kiedyś znów na tablicy ogłoszeń spostrzegłem inny napis: „Zgubiono klucze. Znalazca proszony o odniesienie..." Dalej — dokładny numer mieszkania. Uczciwy znalazca mógłby sam mieszkanie otworzyć i w razie nieobecności gospodarzy pozostawić klucze na stole.

Innym razem wracając o północy do domu zobaczyłem, że w jednym z mieszkań tkwi klucz w zamku. Wziąłem klucz na przechowanie do rana. Okazało się, że szanowny małżonek bywa niekiedy roztargniony...

Mówią, że tematy leżą na ulicy. Temat można znaleźć nie wychodząc z czterech ścian. Gdy leżałem zagrypiony przez siedem długich dni, poczyniłem pewne obserwacje. I myślę, że mógłbym zawrzeć umowę z Urzędem Stanu Cywilnego. Każdego kandydata do zawarcia związku małżeńskiego zamykałbym na 24 godziny w moim pokoju. Jeśli nie zmieniłby w ciągu doby swoich matrymonialnych zamiarów, byłbym przekonany, że ten związek nie zakończy się sprawą rozwodową.

Byłbym przekonany? Prima Aprilis dopiero za dwa tygodnie!

Jacek

Odpowiedzi redakcji

M. W. w Warszawie. Zdarzają się Panu fragmenty dosyć celne (np. „senna jeszcze..."). Naszym zdaniem — powinien Pan podjąć w swojej poezji przede wszystkim ów problem nieautentyczności współczesnego człowieka, wiążącej się z cywilizacyjnym i kulturowym podłożem jego losu. W obrębie tej problematyki czuje się Pan najlepiej, a w ogóle epigramatyczny tryb wypowiedzi literackiej nadaje się bardziej do eksponowania myśli niż uczuć. Jest sens pracować nad sobą.

A. P. w Rogienicach Wielkich. Kawałcem tematu wiejskiego to Pan jeszcze nie jest, a właśnie lektura książek tego pisarza uświadomiłaby Panu, ile rzeczywiście dramatycznych spraw ludzkich ten temat skrywa. Konflikty, które Pan przedstawia, ujęte są naiwnie, czasem po prostu za małą posiadają wagę („Nad wodą"), by mogły zainteresować współczesnego czytelnika. Ponadto język tekstów wydaje się nieciekawy, za mało sugestywny. Wierszę też nas nie zachwyciły. Dosyć „czarno" widzimy przed Panem.

J. K. w Białymstoku. Jako polonista powinien Pan dobrze wiedzieć, że Pańska „ballada" jest średnio udaną stylizacją na preromantyczną legendę. Co ów gatunek legendowy miałby dziś do kwestii publikacji, trudno nam się dorozumieć. Artykuł o Romanowskim nie wykracza poza wiedzę, jaką o tym pisarzu można wyłowić z ogólnie dostępnych podręczników historii literatury. Jest w nich nawet więcej — że był autorem m.in. utworu pt. „Dziewczę z Sącza" — czego Pan już nie uwzględnia. W sumie — nie skorzystamy.

T. O. w Zalesiu Dolnym. Wiersze zdradzają sporą kulturę literacką, choć bardziej nam się podoba ów ton indywidualny jakiegoś lirycznego zapamiętania. Maszynopisów nie zwracamy — to uwaga na marginesie — widać, że mało ma Pan doświadczenia w kontaktach z redakcjami. Ale — to chyba Pana bardziej ucieszy — jeden z wierszy drukujemy!

G. E. w Warszawie. Jesteśmy już w posiadaniu wielkiej partii Pańskich tekstów. Może więc Pan nieco przynajmniej osłabić tempo nadsyłania nowych. Istnieje niepisany zwyczaj, że po debiucie autor musi w danym piśmie „swoje" odczekać na kolejną publikację. Tak w każdym razie my to traktujemy, aczkolwiek wybaczamy młodzieńczą niecierpliwość. Trzeba próbować także w innych czasopismach. Radzibyśmy natomiast otrzymać próbki poetyckie Pańskiego kolegi — debiutanta.

J. M. z Bydgoszczy. Niewątpliwie posiada Pan pewną wrażliwość poetycką, także umiejętność „widzenia bliskiego" — jak by powiedziała Nałkowska. Ale — ośmielamy się prorokować — że z taką dyspozycją psychiczną, „umiejscowiony" w środowisku i zawodzie, o jakich Pan wspomina, mógłby Pan zostać autorem interesującej prozy. Proszę się bacznie rozejrzeć wokół siebie i „spróbować" gatunku opowiadania. Liczymy, że prześle nam Pan efekty tego wysiłku.

B. G. w Łodzi. „Nie rozpoznasz geniusza po uszach". Oj, Panie fraszkopisie, czytelnicy będą się śmiać, lecz może nie akurat z sensu (?) Pańskiej frasze. Pozostałe teksty nie są zabawne nawet z tego powodu.

B. G. w Łodzi, J. B. we Wrocławiu, J. S. w Lublinie, B. N. w Lublinie, J. Z. B. w Popczycach, Z. M. w Kaliszu, J. A. B. w Warszawie — nie skorzystamy.

Na koniec — uwaga ogólniejsza. Nasi korespondenci często nie potrafią wypośrodkować w zakresie ilości nadsyłanych do oceny i publikacji utworów. Przesyłają albo jeden wierszyk, niechlujnym pismem nabazgrany, albo też kilkadziesiąt stron „bitego" maszynopisu. W tym ostatnim przypadku — a posiadamy takich „tomików" sporo — domagają się natychmiastowej oceny i oczywiście publikacji. Mnożą też ponaglenia i monity w tej sprawie. Drodzy Zainteresowani! Chcąc Was zadowolić, musielibyśmy otworzyć odrębną komórkę kamenową, tylko tym się zajmującą, a na to się z różnych względów nie zanosi. Róbcie jakieś rozsądne wybory z Waszej twórczości!

Przepraszamy. Autorem rysunku na 1 str. w poprzednim n-rze „Kameny" jest Edward Inglot, a nie Czesław.

Z cyklu: Miniatury naiwne

Koń cyrkowy

Co byś powiedział, gdyby koń mówił o sobie?
Jak człowiek.
Ludzie się z tego śmieją, a ty — zdziwiłbyś się?
Gdybyś przeczytał o nim w książce, którą trzymasz w dłoni.
Uwierzyłbyś?

Mój pan, ma ruchliwą, ozdobioną filuternym wąsikiem twarz, wypielęgnowane dłonie i nie znoszący sprzeciwu charakter. Kiedy ściąga uzdę, nie ma skrupułów: dumnie wyprostowany żeby go wszyscy podziwiali, a u pasa, gdzie nikt nie dostrzeże, jednym szarpnięciem dłoni przywołuje mnie do porządku.

Wędzidło rani mi język, a on klepie mnie jeszcze w tył czasem trzepnie szpicrutą i tak wypadamy na arenę.

Grają trąbki: długo, przeciągle jak by nie miały nigdy skończyć. Orkiestra zaczyna grać marsza. Muszę maszerować, podnoszę więc nogi, wpierw lewą, potem prawą; łeb dzierżę wysoko. Moje druciane papierowe kwiaty chwieją się na wszystkie strony.

Spostrzegam chłopca z czekoladą w dłoni. Jest smutny. Zupełnie nie wiem, czemu. Szkoda, że nie ma tu klowna. On umiałby go rozweselić.

Mój przyjaciel — klown wystąpi w przerwie. Nie ma to jak jego występ. Cała widownia, a szczególnie dzieciarnia, śmieje się do rozpuku. Dorośli śmieją się z umiarem — głupcy, nie potrafią być sobą. Ich śmiech przypomina mi rechotanie żab. Śmiech dziecięcy jest prosty, dźwięczny, melodyjny. Ujmuje swą szczerością.

Zaczynam galopować. Nagradzają nas brawami, z których On zbiera większą porcję. Uniósł się w strzemionach, wypiął pierś, z kostiumu sypią się cekiny. Tak zadufanego w sobie człowieka jeszcze nie widziałem.

Jaką rozkoszą było stać na łące, u boku matki, poddawać się łagodnym ruchom jej głowy, tulić się do wilgotnych chrap, przechodzić pod pomarszczonym brzuchem, skubać wiosenną trawę. Potem mijał dzień, wracało się piaszczystym gościńcem, a wieśniacy mówili: — „Co za wspaniałe źrebię, co za koń z niego wyrośnie". A my biegliśmy coraz szybciej, ocierając się o wiejskie płoty, na których zostawały włosy z naszych grzyw.

Potykam się, widocznie byłem zamyślony. Czyjś śmiech. Może mi się zdawało?... Nie, znowu!

Zrzucę go, wpadnę na widownię, stratuję ich... Naraz uderzenie. Raz jeszcze szpicruta przywołuje mnie do porządku. Nie zdobyłem się na nic. Jestem bierny.

Biegnę do stajni szybciej niż zwykle, by nie słuchać skąpych braw. Wtem zza kotary wyskakuje klown. Chwytając w biegu cukier, posyłam mu umówiony znak — strzygnięcie uszami.

Katom

Kazimierz Chyła

FRASZKI

O PTAKACH I LUDZIACH

Niejeden potęgą łopotu,
przesłania wątłość lotu.

KONSEKWENTNY

Podstawi nogę, kopnie,
ale swojego dopnie.

O PEWNYM WIERSZU

Do refleksji pobudził mnie zmętnej,
pełno w nim wody i to jeszcze mętnej.

ELASTYCZNY

W każdej pójdzie manifestacji,
tyle w zanadrzu ma orientacji.

ZRÓŻNICOWANIE

Od powstających z wody i piany;
groźniejsze — człekokształtne bałwany.

POMYŁKA

Przed ślubem ideał w niej widział,
po latach powie, że się przewidział.

NAWYK

Najskromniejsi nawet — pomału,
przyzwyczajają się do piedestału.